

NIE CZYTAĆ O ZMIERZCHU!

I



PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO „ISKRY” WARSZAWA 1983

ALGERNON BLACKWOOD

RĄCZY WILK

Ktoś, komu dane było zetknąć się z przygodą wykraczającą poza zwykłe doświadczenie ludzkiego gatunku i kto zechce relacjonować ją innym, nie powinien być zaskoczony, jeśli zostanie uznany za łgarza lub głupca, jak to przydarzyło się w swoim czasie Malcolmowi Hyde, recepcjonście hotelowemu na wakacjach. Poza tym słowo „zetknąć się” nie jest właściwym określeniem, on sam użyłby raczej słowa „przeżyć”.

Kiedy po raz pierwszy zobaczył Jezioro Magiczne rozpostarte wśród niezgłębionych kanadyjskich borów, przede wszystkim uderzyło go jego milczące, migotliwe piękno; następnie absolutne pustkowie wokół; i wreszcie, już o wiele później, dzięki temu, że tu rozegrała się jego przygoda — odkrył, że piękno i pustkowie splatają się z niezwykłością.

— Roi się od ryb — oświadczył Morton z Montrealskiego Klubu Sportowego. — Jedź tam na urlop. W górę od Mattawa, jakieś piętnaście mil na zachód od Stony Creek. Będiesz tam jedynym człowiekiem, nie licząc starego Indianina, który siedzi w swojej chałupinie. Tylko jeśli wolno mi coś radzić, to rozbij obóz na wschodnim brzegu.

Rozwodził się jeszcze przez pół godziny o wspaniałościach połowu; skądinąd jednak, jak Hyde zauważył, nie dawał się wciągnąć w rozmowę i plątał się w odpowiedziach. Jeżeli był to taki raj, jak Morton, jego odkrywca i najwytrawniejszy wędkarz w okolicy dowodził, to dlaczego spędził tam tylko trzy dni? „Skończyło się żarcie” — brzmiało wyjaśnienie; ale drugiemu kumplowi odpowiedział krótko: „Muchy”, a trzeciemu, jak to później doszło do Hyde'a, podał jako powód chorobę swego Metysa, co zmusiło ich do szybkiego powrotu na łono cywilizacji.

Hyde jednak nie zaprzętał sobie głowy tymi wyjaśnieniami, zaczął się nad nimi zastanawiać później. „Roi się od ryb” — to zdanie przypadło mu do gustu. Pojechał pociągiem do Mattawy, uzupełnił ekwipunek w Stony Creek, a stamtąd rozpoczął piętnastomilową wędrówkę łodzią wolny od wszelkich trosk. Przeprawy szły gładko, bo nie miał wiele bagażu, woda niosła szybko i lekko, przechodził przez progi bez trudu, wszystko, jak to się mówi, szło jak z płatka. Od czasu do czasu widział ryby umykające na głębinę i korciło go strasznie, żeby się zatrzymać; ale zdołał poskromić pokusę. Otaczał go fantastyczny świat lasów ciągnących się setkami mil, gdzie władał jelen, niedźwiedź, łoś, wilk — a których nie tknęła ludzka stopa — bezludna, pierwotna puszcza. Dzień był chłodny, jesienny, woda szemrała i iskrzyła się, nad nią zwisało błękitne, bezchmurne niebo, wylewając potoki światła. Pod wieczór Hyde minął stare żeremia bobrowe, opłynął mały cypel i po raz pierwszy ujrzał Jezioro Magiczne. Uniósł ociekające wiosło; łódź wśliznęła się na spokojną wodę. Z wezbranej zachwytem piersi wyrwał mu się okrzyk.

Był przede wszystkim wędkarzem, ale czułym na piękno. Jezioro miało kształt półksiężyca, długie chyba na cztery mile, szerokie w granicach od pół do całej mili. Było zalane złotem ukośnie padających promieni zachodzącego słońca. Najmniejszy podmuch nie mącił jego kryształowej powierzchni. Rozpościerało się tu od prawieków, kiedy to stworzył je bóg czerwonoskórych; będzie tu, dopóki nie wyschnie z jego rozkazu. Wyniosłe świerki stały skupione w gromadki przy samych jego brzegach, majestatyczne cedry schylały się, jakby chciały się napić, szkarłatne sumaki błyskały gorejącymi plamami, klony migotały nieprawdopodobnym oranżem i czerwienią. Powietrze upajało niczym wino, ciche jak sen.

Kiedyś tu właśnie czerwonoskórzy „uprawiali magię” z towarzyszeniem całego dzikiego rytuału i odwiecznych plemiennych obrzędów. Ale Hyde myślał raczej o Mortonie niż o Indianach. Jeśli w tym samotnym, zagubionym rajku naprawdę „roiło się od ryb”, wiele był

winien Mortonowi za informację. Ogarnął go spokój, pod którym pulsowało podniecenie łowcy. Szybko powiódł wokół doświadczonego okiem, by wybrać miejsce na obóz, zanim słońce zajdzie za bór i zapadnie zmrok. Chatkę Indianina pławiącą się w pełnym słońcu na wschodnim brzegu zauważył natychmiast. Jednak gęsto rosnące drzewa utrudniałyby rozbicie tam namiotu, a ponadto nie miał ochoty znaleźć się w bezpośrednim sąsiedztwie jej mieszkańca. Na przeciwległym brzegu zapraszała idealna wprost polana. Padał już na nią cień rzucany przez olbrzymi bór; ale pociągała otwarta przestrzeń. Podpłynął tam szybko i dokonał oględzin terenu. Stwierdził, że ziemia jest twarda i sucha, a z górki spływa mały, dzwięczny strumyczek wpadający do jeziora. Ujście strumyka mogło być dobrym stanowiskiem do zarzucania wędki. Było ponadto osłonięte. Maskowało je kilka niskich wierzb.

Człowiek doświadczony w rozbijaniu obozu szybko podejmuje decyzję. Było to świetne miejsce, a parę zwęglonych kłód ze starych ognisk świadczyło, że nie on pierwszy tak uważał. Wtem jego dobry nastrój został zmacony. Torba wyladowana z łodzi, przygotowania do rozbicia namiotu rozpoczęte, a tu nagle przypomniał mu się pewien drobiazg, który dotychczas na skutek podniecenia tkwił w podświadomości — rada Mortona. Nie tylko zresztą Mortona, bo i sprzedawca w Stony Creek powiedział to samo. Ogromne chłopisko z rzadkim wąsem i przygarbionymi plecami, ubrany w koszulę i spodnie, do bekonu, mąki, mleka skondensowanego i cukru dołożył jeszcze jedno, ostatnie, zdanie. Powtórzył na wpuł zapomniane słowa Mortona.

— Niech pan rozbije obóz na wschodnim brzegu. Ja bym tak zrobił — powiedział na pożegnanie.

Najwidoczniej zapamiętał również Mortona.

— Niewysoki facet, brązowy jak Indianin i mocno pachnący lasem. Podróżuje z Jake'iem, Metysem. — To na pewno był Morton. — Nie siedział długo ostatnio, prawda? — dodał z zadumą. — Wybiera się pan nad Jezioro Wietrzne? Czy może na Dziesięciomilowe Wody? — zapytał najpierw Hyde'a.

— Jezioro Magiczne.

— Doprawdy? — powiedział sprzedawca, jakby powątpiewał w to z jakichś niejasnych powodów. Przez chwilę pociągał za swoje wystrzępione wąsiki. — Doprawdy, teraz? — powtórzył. I ostatnie słowa dorzucił po dłuższej pauzie; była to rada, na którym brzegu należy rozbić namiot.

Wszystko to nagle wróciło Hyde'owi na pamięć, zaprawione posmakiem rozczarowania i irytacji, bo gdy dwóch doświadczonych ludzi wyraża taki sam pogląd, nie można zbyć ich opinii machnięciem ręki. Żałował, że nie wziął sprzedawcy na spytki. Rozglądał się dokoła, Zastanawiał, wahał. Niewątpliwie wybrane przez niego miejsce znajdowało się na zakazanym brzegu. Cóż, u diabła, dumał, mogło przemawiać przeciwko niemu?

Ale robiło się ciemno; musiał się decydować szybko — albo, albo. Popatrzył na rozpakowane rzeczy, na częściowo już postawiony namiot i powziął decyzję mamrocząc pod nosem i wysyłając Mortona i sprzedawcę w nie najprzyjemniejsze miejsca.

— Musieli mieć jakieś powody — mrucał sam do siebie. — Tacy faceci zwykle wiedzą, co mówią. Chyba będzie lepiej, jeśli przeniosę się na drugi brzeg, w każdym razie na noc.

Zanim zabrał się do ładowania łodzi, rzucił okiem za wodę. Z chaty Indianina nie unosił się dym. Nie było również śladu łodzi. Wywnioskował stąd, że tubylec musiał gdzieś odejść. Z ociąganiem opuścił upatrzone miejsce i powiosłował w poprzek jeziora, a w pół godziny później namiot już stał, drzewo na ognisko było zgromadzone, a na kolację miał złowione dwa małe pstrągi. Ale wielka ryba, wiedział to, czekała na niego po drugiej stronie, przy małym ujściu, więc leżąc na swym posłaniu z balsamicznie pachnących gałęzi zirytowany i rozdrażniony zastanawiał się, jakim sposobem błaha uwaga mogła odwieść go od postąpienia według własnej jak najślusniejszej oceny. Spał jak zabity; słońce było już wysoko, kiedy się

obudził.

Ranek przyniósł zupełnie inny nastrój. Olśniewające słońce, spokój, upajające powietrze przepłoszyły wszelkie niemądre urojenia; nie mógł się nadziwić, że okazał taką słabość poprzedniego wieczoru. Opuściły go wszelkie rozterki. Natychmiast po śniadaniu zwinął namiot, przepłynął ponownie przez pasmo lśniącej wody i rozłożył się na zakazanym brzegu, jak go teraz z ironicznym uśmieszkiem nazywał. Im lepiej poznawał to miejsce, tym bardziej mu się podobało. Drzewa było pod dostatkiem, woda bieżąca do picia, otwarta przestrzeń wokół namiotu i ani jednej muchy. Ponadto połów był wspaniały. Relacja Mortona okazała się rzetelna i zdanie „roi się od ryb” miało pełne pokrycie.

Jałowe godziny wczesnego popołudnia spędził na drzemce i na wędrówce przez zarośla rozciągające się za obozem. Nie napotkał nic niezwykłego. Wykąpał się w zimnym głębokim jezioru; rozkoszował się małym bezludnym rajem. Raj był rzeczywiście bezludny i to między innymi stanowiło o jego uroku; bezruch, spokój, odosobnienie tego pięknego leśnego jeziora zachwycały. Cisza panowała niebiańska. Hyde był całkowicie zadowolony. Pod wieczór napił się herbaty i powędrował wzdłuż brzegu, wypatrując pierwszych oznak wypływania ryb. Słabe zmarszczki na wodzie i podłużne cienie dobrze rokowały. Plusk następował za pluskiem, gdy wielkie sztuki uganiające się za żerem wypływały i znikwały w głębinie. Wrócił pośpiesznie i w dziesięć minut później z wędkami, ostrożnie, sunął łodzią po spokojnej wodzie.

Półw był tak świetny, doprawdy, i stos pstrągów na dnie łodzi rósł tak szybko, że chociaż robiło się późno, nie miał siły powiedzieć sobie „dość”. Jeszcze tylko jednego — pomyślał — i naprawdę będzie koniec. Złapał tego „jeszcze tylko jednego”, ale gdy zdejmował go z haczyka, głęboka cisza wieczoru została dziwnie zakłócona. Uświadomił sobie nagle, że ktoś go obserwuje. Miał wrażenie, że z otaczających cieni wpatrują się w niego czyjeś oczy.

Tak przynajmniej odebrał to zakłócenie radosnego nastroju; po prostu to czuł. Wrażenie przyszło znienacka, bez żadnego przygotowania. Nie był sam. Śliski, wielki pstrąg wymknął mu się z rąk. Hyde zamarł w bezruchu patrząc w ślad za nim.

Nic się nie poruszało; zmarszczki na wodzie wygładziły się; ustał wiatr; bór wznosił się zwartą, purpurową masą cienia; żółte niebo, szybko ciemniejące, rzucało blaski, które raziły oczy utrudniając ocenę odległości. Żadnego dźwięku, żadnego ruchu; nigdzie nikogo. A mimo to wiedział, że jest obserwowany, i ogarnął go zupełnie niezrozumiały lęk. Dziób łodzi był skierowany na brzeg. Błyskawicznie, instynktownie obrócił ją i popłynął na głęboką wodę. Również instynktownie odgadł, że obserwator znajdował się zupełnie blisko, na brzegu. Ale gdzie? I kto? Czy to był Indianin?

Tutaj, na głębokiej wodzie, ze dwadzieścia jardów od brzegu, zatrzymał się wyęzając wzrok i słuch, żeby znaleźć jakiś klucz do zagadki. Trochę mu było wstyd teraz, gdy pierwsze dziwne uczucie ustąpiło. Ale pewność pozostała. Choć zakrawało to na absurd, czuł niemal namacalnie, że ktoś obserwuje go ze skupioną, baczna uwagą. Czuł to każdym nerwem swego ciała i chociaż nie mógł wykryć osoby ani żadnego nowego konturu na brzegu, mógłby pod przysięgą wskazać, w której kępie drzew ukrywająca się istota przycupnęła i śledzi go wzrokiem. Coś przyciągało jego uwagę do tej właśnie kępy.

Woda powoli skapywała z wiosła leżącego w poprzek ławek. Żadnego innego dźwięku. Niewyraźnie majaczyło płótno jego namiotu. Ukazała się jedna, druga gwiazda. Czekał. Nie zdarzyło się nic.

Potem doznanie ustąpiło równie nagle, jak przyszło, i wiedział, że obserwująca go uważnie osoba odeszła. Było to niczym zawrócenie strumienia, w biegu. Świat wrócił do poprzedniego stanu; krajobraz opustoszał jak pokój, z którego wszyscy wyszli. Przykre uczucie ustąpiło tak zupełnie, że bezzwłocznie wrócił, dobił do brzegu i z wiosłem w dłoni zaczął przeszukiwać kępę wierzb, którą uważał za miejsce kryjówki. Nie było tam oczywiście nikogo, nie było najmniejszego śladu niedawnej bytności człowieka, żaden liść, żadna gałąź nie poruszona, żaden patyk nie przemieszczony; przenikliwy i doświadczony wzrok nie odnalazł

żadnego śladu na ziemi. Mimo to miał niezachwianą pewność, że przed chwilą ktoś tu tkwił, przyczajony wśród gęstwiny, i obserwował go. Był o tym absolutnie przekonany. Obserwator, być może Indianin, myśliwy, drwał czy włóczący się Metys wycofał się i poszukiwanie było bezcelowe; mrok gęstniał. Wrócił do swego małego obozowiska bardziej rozstrojony, niżby chciał się przyznać. Przygotował sobie kolację, uwiesił swój połów na linie, aby żaden drapieznik nie dobrał się do niego w nocy, i usiłował odzyskać równowagę przed udaniem się na spoczynek. Bezwiednie rozpałił ognisko większe niż zwykle i przyłapał się na tym, że spoziera ciągle sponad fajki w głęboki cień rozpościerający się za ogniskiem nastawiając uszu, żeby złowić jakiś szelest. Nigdy jeszcze nie doświadczył takiego napięcia.

Człowiek, który znajdzie się w takim miejscu i w takich warunkach, nie doznaje niepokoju, dopóki uczucie samotności nie dotrze do niego jako zbyt konkretna rzeczywistość. Samotność w leśnym obozowisku ma urok, jest rozkoszna, daje błogie uczucie ukojenia, dopóki i o ile nie podejdziesz zbyt blisko. Musi stanowić jeden z wielu czynników; nie może być bezpośrednio, fizycznie, zauważalna. Kiedy już jednak podpełźnie zbyt blisko, łatwo może przekroczyć cienką granicę między samotnością i osamotnieniem, a nie jest dobrze, gdy to przejście dokona się w ciemności. Może wywołać dziwny lęk, że samotność została zakłócona zniemacka i jest się wystawionym na atak.

To przejście właśnie się w Hyde dokonało; zbyt dogłębne odczucie samotności gwałtownie ustąpiło miejsca dużo gorszemu wrażeniu, że nie jest zupełnie sam. To był trudny moment, bo recepcjonista hotelowy dokładnie zdawał sobie sprawę ze swego położenia. Nie zachwycało go ono w najmniejszym stopniu. Siedział oto plecami do płonących kłód, świetnie widoczny obiekt na tle światła, podczas gdy wokół niego ciemność boru wznosiła się jak nieprzenikniona ściana. Nie widział niczego, co znajdowało się choćby o pół kroku poza wąskim kręgiem światła rzucanego przez jego ognisko; milczenie wokół było niczym milczenie śmierci. Nie zaszemrał liść, nie plusnęła fala, on sam siedział nieruchomy jak kłoda.

Potem znów ogarnęła go pewność, że obserwator powrócił i utkwiał w nim to samo skupione, baczne spojrzenie. Tak jak poprzednio nic na to nie wskazywało. Nie słyszał żadnego skradania się ani trzasku łamanej suchej gałęzi, a jednak właściciel tych upartych oczu był blisko, prawdopodobnie nie dalej niż w odległości dwunastu stóp. Poczucie bliskości było przygniatające. Nie ulegało wątpliwości, że przebiegł go dreszcz. Wyraźnie czuł, że człowiek przyczał się dokładnie naprzeciwko niego, tuż za zasięgiem światła, precyzyjnie obliczywszy odległość, z której sam mógł widzieć. Przez parę minut Hyde siedział nieporuszony, ani drgnął, ale każdy mięsień miał napięty i czujny; na darmo wycęzał oczy, aby przeniknąć ciemność, osiągnął tylko tyle, że oślepił go odbity blask. Potem ostrożnie, powoli, zmienił pozycję, by uzyskać inny kąt widzenia, i nagle serce walnęło mu dwa razy o żebra, włosy wstały, zjeżyły mu się na głowie, a lodowaty dreszcz boleśnie przeszył kręgosłup. W ciemności, na wprost siebie, zobaczył dwa małe, zielone kółeczka, które z pewnością były parą oczu, ale nie należały ani do Indianina, ani do myśliwego, ani do żadnej ludzkiej istoty. To zwierzęce ślepie tak uparcie wpatrywały się w niego poprzez noc. Skutek tego stwierdzenia był natychmiastowy i naturalny. Zagrożenie płynące z tych ślepi wskrzesiło zrodzony w zaraniu dziejów lęk milionów myśliwych zmarłych przed wiekami. Instynkt przodków zagrał we krwi recepcjonisty hotelowego. Dłoń Hyde'a wyciągnęła się po broń. Wyczuł pod palcami żelazo małej obozowej siekierki; od razu powrócił mu spokój. To był niedźwiedź lub wilk, który zwietrzył złowione ryby i przyszedł, żeby je wykraść. Instynkt podpowiadał mu, jak można sobie poradzić w takim wypadku, ale ten sam instynkt mówił, że jego osobliwy strach miał inne źródło.

— Zaraz, do jasnej cholery, wyjaśnię, co to jest! — wykrzyknął na głos i wyciągnął płonąca gałąź z ognia; wymierzył starannie i cisnął ją w błyszczące przed nim ślepie bestii. Gałąź spadła wśród powodzi iskier, od których zatliła się trawa nie opodal zwierzęcia. Żarzyła się chwilę i przygasła szybko. Ale krótki błysk wystarczył, by dostrzec, kim był nieproszony gość. Olbrzymi szary wilk siedział na zadzie wpatrując się w niego uporczywie poprzez

ogień. Zobaczył jego łapy i grzbiet, jego sierść, zobaczył także potężne pnie świerków za nim i wierzbowe zarośla z obu stron. Odslonił się przed nim wyraźny w każdym szczególe żywy obraz. Ku jego zdumieniu wilk nie odwrócił się i nie umknął przed płonąca głównią, lecz odsunawszy się zaledwie kilka jardów usiadł ponownie na zadzie, wpatrując się uporczywie jak przedtem. Boże, jak on patrzył! Hyde usiłował przepłoszyć go krzykiem, ale bez rezultatu; wilk nawet nie drgnął. Nie zmarnował już drugiej, cennej gałęzi na zwierzaka, bo strach przycichł; wilk to wilk, niech sobie siedzi, jak długo chce, dopóki nie dobiera się do jego ryb. Lęk minął zupełnie. Wiedział, że latem i jesienią wilki nie są groźne i nawet w zimie, gdy biegają całą sforą, człowieka atakują tylko wtedy, gdy zmusi je do tego rozpaczliwy głód. Leżał więc i obserwował zwierzę, ciskał kawałkami drewna w jego kierunku, nawet przemawiał do niego, zaskoczony tylko tym, że wilk w ogóle się nie poruszał.

— Możesz tam sterczeć w nieskończoność, jeśli masz ochotę — powiedział — bo nie uda ci się dostać do moich ryb, a resztę żarcia wezmę do namiotu. — Zwierz zmrużył swe zielone błyszczące ślepia, ale nie poruszył się.

Dlaczego, skoro lęk minął, nie mógł się opędzić od myśli o pewnych sprawach, gdy zawijał się przed snem w koce z Kompanii Zatoki Hudsona? Dziwny był bezruch zwierzęcia, a to, że nie zawróciło i nie umknęło, było jeszcze dziwniejsze. Nigdy przedtem nie słyszał o stworzeniu, które nie bałoby się ognia. Czemu siedziało i wpatrywało się w niego, jakby chciało coś wyrazić swymi strasznymi ślepiami? Dlaczego wyczuwało się wcześniej jego obecność, i to natychmiast? Szary wilk, zwłaszcza samotny szary wilk, należy do stworzeń bojaźliwych, a ten nie bał się ani człowieka, ani ognia. Teraz, gdy Hyde leży zakutany w swoje koce w przytulnym namiocie, tamten siedzi pod gwiazdami, obok dogasającego żaru, wiatr przeczesuje mu futro, ziemia stygnie pod jego łapami, a on wpatruje się, wpatruje uporczywie — być może będzie tak tkwił do brzasku. To było niezwykle, to było niesamowite. Hyde nie dysponował wielką wyobraźnią ani czytaniem, nie rozporządzał również nadmiarem przenikliwości, ot, trzeźwo myślący hotelowy recepcjonista na wędkarskim urlopie, leżący pod swoimi kocami, po prostu tylko zdziwiony i zachodzący w głowę. Szary wilk był szarym wilkiem i niczym więcej. Jednak ten szary wilk — myślał obsesyjnie — jest inny. Krótko mówiąc, niepokój skrył się głębiej, ale pozostał. Hyde przewracał się z boku na bok, spał niespokojnie, wstrząsały nim dreszcze; nie wstawał wprawdzie, żeby wyglądać, ale obudził się wcześniej, nie pokrzepiony.

I znów poranny wiatr i wschodzące słońce sprawiły, że nocny incydent poszedł w zapomnienie, wydawał się prawie niebyły. Myśliwski zapał Hyde'a osiągnął szczyty. Herbata i ryby były doskonałe, fajka smakowała mu jak nigdy, urok bezludnego jeziora odurzał, był łowcą w obliczu Boga i niczym więcej. Łowił na końcu jeziora, gdy nagle w ferworze walki ze schwytaną wielką rybą, poczuł, że on, wilk, jest znowu. Zamarł z wędką w ręku, od razu wiedział, gdzie patrzeć. Olśniewający wschód słońca wydobywał każdy szczegół wyraźnie i ostro — granitowe głazy, spalone pnie, purpurowe sumaki, kamyki na brzegu układające się w skończone, precyzyjne kompozycje — nie ujawniając kryjówek wilka. Potem przeniósł wzrok dalej, w głąb łądu, między splątane poszycie, i nagle wyłuskał znajomy, na wpół wyczekiwany kształt. Wilk leżał na granitowym głazie w ten sposób, że widać było tylko jego pysk i oczy. Zlewał się z tłem. Gdyby Hyde nie wiedział, że tam jest, w żaden sposób nie potrafiłby wyodrębnić go z krajobrazu. Ślepia wilka jarzyły się w słońcu.

A więc wilk tam leżał. Hyde patrzył prosto na niego. Ich oczy spotkały się na dłuższą chwilę.

— Wielki Boże! — wykrzyknął Hyde głośno — przecież to jest ludzkie spojrzenie!

Od tej chwili bezwiednie nawiązał ze zwierzęciem jakiś szczególny osobisty kontakt. A to, co nastąpiło, ugruntowało niepożądane uczucie; otóż zwierzę podniosło się i niespiesznie zeszło na brzeg, gdzie zatrzymało się, ciągle go obserwując. Stało i patrzyło mu w oczy jak wielki, dziki pies. Hyde doświadczył nowego, niewiarygodnego wrażenia — że wilk go

poznaje.

— No proszę! — wykrzyknął znowu starając się rozładować swoje uczucia przez wypowiedzenie ich na głos. — Czegoś podobnego jeszcze nie widziałem! Ale czego ty właściwie chcesz? — Przypatrzył mu się wnikliwiej. Nigdy dotąd nie widział wilka tak wielkiego, była to przerażająca bestia. Hyde pomyślał sobie, że w starciu, gdyby do tego doszło, byłby to groźny przeciwnik. Wilk stał bez cienia trwogi, ufny. W jaskrawym słonecznym świetle można było dostrzec każdy szczegół — wielki, kudłaty szary wilk z zapadniętymi bokami, wlepiający w człowieka swe złowrogie ślepie, jakby chciał coś powiedzieć. Widział jego potężne szczęki, kły, wywieszony język, z którego skapywała ślina. A jednak trudno było uwierzyć w jego okrucieństwo i dzikość.

Hyde był zdumiony i zaintrygowany w najwyższym stopniu. Zapragnął, żeby wrócił Indianin. Nie mógł zrozumieć dziwnego zachowania zwierzęcia. Oczy wilka, ich dziwny wyraz, przyprawiły go o niezwykle, niezrozumiałe, przykre doznania. Czyżby coś z jego nerwami było nie w porządku? Był skłonny tak przypuszczać.

Zwierzę stało na brzegu i patrzyło na niego. Po raz pierwszy Hyde pożałował, że nie ma strzelby. Uniósł wiosło i z głośnym plaśnięciem uderzył nim o wodę, aż rozległ się huk jak po wystrzale z pistoletu, który zmącił ciszę od końca do końca jeziora. Wilk ani drgnął. Hyde zaczął wrzeszczeć, ale zwierzę trwało nieporuszone. Zamrugał i przemówił jak do psa, jak do domowego zwierzęcia oswojonego z ludźmi. Wilk w odpowiedzi zamrugał również.

W końcu Hyde oddalił się od brzegu i wrócił do łowienia ryb; emocje tego wspaniałego sportu zwróciły jego uwagę w innym kierunku — w każdym razie pozornie. Chwilami zapomniał o asystującym zwierzęciu, ale kiedy podnosił głowę, widział je w tym samym miejscu. Gorzej — gdy powoli wiosłował w stronę obozu, zauważył, że wilk kłusuje brzegiem, jakby dotrzymywał mu towarzystwa. Przecinając małą zatoczkę Hyde przyspieszył tempo, w nadziei, że dotrze na przeciwległy brzeg przed swym niepożądanym towarzyszem. Natychmiast zwierzę przeszło w szybki, niezmordowany bieg, który umożliwia, jeśli nie ma lodu, doścignięcie wszystkiego, co biega w lesie na czterech nogach. Kiedy Hyde dotarł do upatrzonego punktu, wilk już tam czekał na niego. Hyde zamarł na chwilę z uniesionym wiosłem, bo ta ścisła obserwacja — zwłaszcza że zapadał zmierzch i nadciągała noc — naprawdę nie była mu w smak. Obóz blisko, należało wysiąść; czuł się nieswojo nawet w pełnym blasku dnia. Nagle z wielką ulgą spostrzegł, że pół mili od namiotu zwierzę zatrzymało się i usiadło wśród otwartej przestrzeni. Odczekał chwilę i powiosłował znowu. Wilk się nie ruszył; nie miał zamiaru, siedział i obserwował go. Po przepłynięciu paruset jardów Hyde obejrzał się. Wilk siedział tam, gdzie poprzednio. Hyde miał absurdalne, ale wyraźne uczucie, że zwierzę odgadło jego myśli, jego niepokój, jego strach i demonstrowało, tak jak umiało, że nie żywi wrogich uczuć i nie zamierza atakować. Dobił do brzegu, wysiadł. W zapadającym zmroku ugotował sobie kolację. Zwierzę nie pokazało się. Leżało zapewne nie opodal i czuwało, ale nie zbliżało się. I Hyde, odbierający teraz wszystko jakoś inaczej, uświadomił sobie ostro i wyraźnie niezwykłość atmosfery, która otaczała tak zwykłego jak on człowieka, dotarło też do niego, że jego stosunki ze zwierzęciem, już jakoś ustabilizowane, wkroczyły w nową fazę; Był tym wstrząśnięty, ale wolny od uczucia zagrożenia, które by mu towarzyszyło na pewno jeszcze cztery godziny temu. Między nim a wilkiem nawiązało się porozumienie. Uświadomił sobie, że myśli o nim przyjaźnić. Posunął się tak daleko, że w miejsce, gdzie wilk siedział poprzedniej nocy, podrzucił kilka ryb. Jeśli przyjdzie, niech sobie zje. Mam przecież pod dostatkiem ryb. Myślał teraz o wilku jako o „kimś”.

Wilk jednak nie zjawił się, dopóki Hyde nie skierował się po dłuższym czasie do namiotu. Dochodziła już dziesiąta, a zwykle kładł się najpilniej koło dziewiątej. Widać czekał podświadomie na zwierzę. Potem, gdy spuszczał klapę namiotu, dojrzał ślepie blisko miejsca, gdzie zostawił ryby. Czekał ukryty, sądząc, że usłyszy chrzest chrupania: ale nic nie mąciło ciszy. Tylko w smolistej ciemności żarzyły się uparcie oczy. Spuścił klapę. Nie odczuwał

najmniejszego lęku. Dziesięć minut później spał już głęboko.

Nie trwało to zapewne długo, bo kiedy się przebudził, zobaczył przez płótno namiotu czerwone światło — ognisko nie zdążyło jeszcze całkiem wygasnąć. Podniósł się i ostrożnie wyjrzał. Było bardzo zimno, widział własny oddech. Widział również wilka, który podszedł blisko i siedział przy dogasających drwach, nie dalej jak dwa jardy od Hyde'a przykucniętego za klapą namiotu. Teraz, z bliska, dostrzegł w postawie tego dzikiego zwierzęcia coś, co przykuło jego uwagę wywołując ostry dreszcz kompletnego zaskoczenia, które zaparło mu dech w piersi. Patrzył nie wierząc własnym oczom; postawa wilka wyrażała coś znanego, czego w pierwszej chwili nie umiał nazwać. Jego poza przywodziła na myśl inne stworzenie, z którym był całkowicie zżyty. Jakże? Czy zwodzą go zmysły? Czy może nie obudził się jeszcze i śni? Potem moment nagle niesamowitego olśnienia — wie! To była poza psa. Znalazłszy punkt zaczepienia umysł pracował wielkimi skokami. Na dobrą sprawę zwierzę nie przywodziło na myśl psa, ale coś bliższego mu, jeszcze bardziej znajomego. Wielkie nieba! Siedzący wilk sylwetką, układem ciała przypominał odpoczywającego człowieka. Dokonane odkrycie przypawiło Hyde'a o drugi zapierający dech wstrząs. Wilk siedział przy ognisku jak człowiek. Zanim zdołał ocenić niezwykłość swego odkrycia, zanim zdołał przeanalizować szczegóły, skupić uwagę, siedzące w tak upiorny sposób zwierzę wyczuło, zdaje się, jego spojrzenie na sobie. Obróciło się wolno i spojrzało mu prosto w twarz, i po raz pierwszy całe jestestwo Hyde'a przeniknął dojmujący, zabobonny strach. Był porażony przez niewysłowioną grozę, ogarniającą zwykle ludzkie istoty, kiedy zetkną się twarzą w twarz ze zmarłymi; niezdolne wypowiedzieć słowo czy wykonać ruch. Hyde przeżył taki właśnie moment porażenia. To że moment ten minął, było równie niesamowite, jak jego nadejście. Po prostu dotarło do niego coś poza i ponad tą kpina z ludzkiej pozy i zachowania, coś, co zelektryzowało nie nawykłe nerwy i poruszyło jego wrażliwość, a może nawet serce. Zwrot był arcyniezwykły, a jeszcze bardziej niezwykły i nieoczekiwany był rezultat. Ale fakt jest faktem. Uświadomił sobie, co sprawiło, że jego przerażenie zniknęło równie szybko, jak się narodziło. Wyczuł błaganie. milczące, nie wyrażone, ale niezmiernie wzniosłe. Dojrzał prośbę w dzikich oczach, niemal tęsknotę, wyraz, który jak za dotknięciem różdżki zmienił jego strach w odruchową sympatię. Wielki, szary zwierz, symbol okrucieństwa i dzikości, siedział oto przy dogasającym ogniu i wzywał pomocy.

Przepaść między człowiekiem a zwierzęciem zniknęła w jednej chwili. Było to oczywiście niewiarygodne. Hyde cały czas nie był pewien, czy wszystkie te cienie i półcienie, przepływające przez jego duszę, nie pochodzą z marzeń sennych, mącających jego świadomość, jednak musiał uznać fakt. Przyłapał się na tym, że skinał niezdecydowanie w kierunku zwierzęcia, jakby się na coś zgadzał, i w tejże chwili, bez żadnego dodatkowego gestu, wychudły szary kształt podniósł się jak widmo i szybkim, skradającym krokiem odszedł w cień nocy.

Gdy Hyde obudził się rano, w pierwszej chwili pomyślał, że całe to zdarzenie mu się przyśniło. Jego trzeźwa natura dochodziła do głosu. Świeże jesienne powietrze aż szczypało. Jasne słońce wyeliminowało wszelkie półcienie; czuł się rześki na ciele i duszy. Analizując wczorajsze wydarzenie doszedł do wniosku, że wszelkie spekulacje są tu zupełnie bezcelowe; nie nasuwała się żadna możliwa do przyjęcia interpretacja zachowania zwierzęcia; zetknął się z czymś, co całkowicie wykraczało poza jego doświadczenie. Strach minął jednak zupełnie. Pozostało osobliwe przyjazne nastawienie. Zwierzę działało z jakimś określonym celem, a on pozostawał w pewnym związku z tym celem. Jego sympatia była ugruntowana.

Ale sympatii towarzyszyła nieopanowana ciekawość. Jeśli znowu się zjawi — mówił do siebie — podejść całkiem blisko i zorientuję się, czego chce. Ryba, którą poprzednio zostawił na noc, pozostała nie tknięta.

Minęła chyba dobra godzina od śniadania, kiedy ponownie zobaczył zwierzę; stało na skraju polany i patrzyło na niego w sposób, który stał się już znajomy. Hyde natychmiast wziął siekiere i ruszył śmiało w jego kierunku z oczyma utkwionymi w tamtych oczach. Czuł

pewien niepokój, ale potrafił go ukryć; nie zdradzał go niczym; krok po kroku podchodził coraz bliżej, aż dzieliło ich najwyżej dziesięć, jardów. Żaden muskuł zwierzęcia nie drgnął — pysk rozwarty, oczy wpatrzone z przejściem. Wilk pozwolił zbliżyć się do siebie, w żaden sposób nie dając poznać, jak może się za chwilę zachować. Gdy dzieliło ich już owe dziesięć jardów, obrócił się nagle i ruszył naprzód oglądając się za siebie raz przez jeden, raz przez drugi bark, dokładnie tak, jak robi to pies, gdy sprawdza, czy jego pan za nim idzie.

Osobliwa była to wędrówka, którą odbyli razem, zwierzę i człowiek. Znaleźli się od razu w leśnej gęstwinie, bo pozostawili jezioro za sobą. Hyde spostrzegł, że zwierzę wybiera możliwie najłatwiejszą dla człowieka drogę, gdyż przeszkody, które nie stanowiły problemu dla czworonożnego bywalca kniei, a sprawiłyby kłopot człowiekowi, były pieczołowicie omijane z niesamowitą zręcznością i przy zachowaniu zasadniczego kierunku. Czasem natrafiali na wykroty, które wilk pokonywał bez trudu w paru susach, ale zawsze po drugiej stronie czekał na człowieka drapiącego się mozolnie za nim. W ten osobliwy sposób zanurzali się głębiej i głębiej w serce dziewiczej puszczy, idąc wzdłuż cięciwy jeziora, o ile Hyde mógł się zorientować; po przejściu mniej więcej dwóch mil rozpoznał wielkie skaliste urwisko sterczące nad wodą na północnym brzegu. Widział to urwisko ze swego obozu ostro spadające w wodę z jednej strony; przypuszczał, że tam właśnie znajdowało się miejsce, gdzie Indianie odprawiali swe magiczne obrzędy, ponieważ było zupełnie odizolowane, a spłaszczony wierzchołek był ukryty i trudno dostępny. Tu wilk zatrzymał się przywarł do wielkiego świerku rosnącego u podnóża urwiska i pierwszy raz od chwili swego pojawienia się dał uchwytny wyraz swym uczuciom. Siadł na zadzie, podniósł otwarty pysk i zawył przeciągle, z cicha; przypominało to raczej skowyt psa niż dziki zew właściwy wilkom. Hyde zapomniał już nie tylko o lęku, ale i o ostrożności; wyjące wezwanie nie budziło w nim również żadnych nieprzyjaznych uczuć. W dziwnym dźwięku wyłowił to samo przesłanie, które wyrażały oczy — błaganie o pomoc. Zatrzymał się mimo to, trochę wzburzony, i szybko rozejrzał się wokół, a wilk siedział dalej czekając na niego. Dokoła rósł młody zagajnik; musiała tu być kiedyś polana, którą wyrąbano siekierą i wypalono ogniem; dla doświadczonego oka było oczywiste, że to rezultat działalności Indian, a nie białych. Zbliżając się do swego cierpliwego przewodnika Hyde nabierał coraz większej pewności, że na tej małej polanie musiały się odbywać jakieś obrzędy magiczne. Czuł, że kres ich dziwnej wędrówki jest tuż-tuż.

Zanim zrobił dwa kroki, wilk podniósł się i bardzo wolno ruszył w kierunku zbitej kępy niskich zarośli. Wszedł tam, obejrawszy się uprzednio, jakby sprawdzał, czy jego towarzysza na niego patrzy. Skrył się w zaroślach i po chwili się wynurzył. Powtórzył dwukrotnie tę pantomimę i za każdym razem kiedy się pojawiał, stał cicho wpatrując się w człowieka z wyrazem takiego błaganie w ślepiach, na jakie tylko stać zwierzę. Było jasne, że z każdą chwilą jest bardziej wzburzony, i równie jasne, że to wzburzenie udziela się człowiekowi. Hyde zdecydował się szybko. Dzierżąc mocno swą siekierkę, gotów użyć jej przy pierwszym objawie wrogości, zbliżył się powoli do krzaków, oczekując z drżeniem na rozwój wypadków.

Jeżeli oczekiwał czegoś zaskakującego, to jego oczekiwanie z miejsca zostało spełnione — a zaskoczyło go zachowanie zwierzęcia. Wilk skakał wokół niego jak rozradowany pies. Szalał z radości. Był podniecony w najwyższym stopniu, jednak z otwartego pyska nie wydobywał się żaden dźwięk. Nagłym susem wpadł w kępę krzaków i zaczął gwałtownie drapać ziemię. Hyde stał i gapił się. Zdumienie i ciekawość nie dopuszczały do głosu niepokoju nawet wtedy, gdy kopiące zwierzę dotknęło go swym cielskiem. Miał wrażenie, że śni jeden z tych fantastycznych snów, w których wszystko jest możliwe i nic nie budzi specjalnego zdziwienia; gdyby nie to, musiałby uznać, że sposób, w jaki wilk drapał i rył ziemię, jest zjawiskiem nie z tego świata. Żaden wilk, żaden pies nie potrafiłby tak pracować łapami, jak pracowały łapy tego zwierzęcia. Hyde doświadczał dziwnego, deprymującego uczucia, że obserwuje nie łapy, lecz ręce. Na domiar wszystkiego nie dziwiło go to tak, jak powinno. Niezwykle

poczynania były w jakimś sensie naturalne. Zamiast zdumienia rodziły się w jego sercu głęboko ukryta sympatia i współczucie. Odbierał podniosłość chwili.

Wilk przerwał swą pracę i popatrzył mu prosto w twarz, Hyde Bez zastanowienia włączył się do akcji. Później sam zachodził w głowę, dlaczego tak postąpił. Chyba po prostu wiedział, co należy robić, odgadywał, o co go proszono, czego po nim oczekiwano. Między jego umysłem a dzikim, zwierzęciem trawionym przez niewyraźne pragnienie zawiązała się zrozumiała i rozumna łączność. Wyciął kij i zastrzył go, bo siekierka wyszczerbiłaby się o kamienie. Wszedł w gąszcz, aby podjąć kopanie rozpoczęte przez czworonożnego towarzysza. W czasie pracy, chociaż nie zapomniał o bezpośredniej bliskości wilka, nie zwracał na niego zbytnej uwagi; często pochłonięty uciążliwym usuwaniem zbitych brył, odwracał się do niego tyłem; nie odczuwał najmniejszego niepokoju ani strachu. Wilk siedział na skraju zarośli i obserwował jego poczynania. Natężona uwaga, cierpliwość, łagodność i uległość dzikiego i prawdopodobnie wygłodzonego zwierzęcia, a ponadto wyraźne zadowolenie i satysfakcja, że udało mu się pozyskać człowieka dla swego tajemniczego celu — oto koloryt dziwnego obrazu, który odtwarzał później Hyde, kiedy dzielił się wrażeniami wśród hotelowych gości. W tamtym momencie był tylko przejęty i wzruszony. Cała historia była oczywiście niewiarygodna, ale to odkrycie zrobił również dopiero wtedy, kiedy opowiadał ją innym.

Mozolił się ponad pół godziny, zanim jego wysiłki zostały uwieńczone znalezieniem małego białego przedmiotu. Podniósł go i obejrzał starannie — kość z ludzkiego palca. Kolejne odkrycia następowały jedno po drugim i w dużej obfitości. Kryjówka została opróżniona. Był to prawie cały szkielet. Na końcu Hyde odnalazł czaszkę; być może nie trafiłby na nią, gdyby nie wskazówka jego niezwykle baczego towarzysza. Leżała dobre kilka jardów od wykopanej przez Hyde'a jamy. Wilk stanął w tym właśnie miejscu wężąc przy ziemi dopóty, dopóki Hyde nie domyślił się, że tam należało kopać. Natrafił kijem na czaszkę dokładnie pomiędzy łapami zwierzęcia. Ostrożnie wytarł kości z ziemi i obejrzał je uważnie. Czaszka była w doskonałym stanie, jeżeli nie liczyć tego, że jakieś dzikie zwierzęta dobrały się do niej i pozostawiły niezatarte ślady zębów. Tuż obok czaszki leżał zardzewiały żelazny obuch tomahawka. Tomahawk i niewielkie kości utwierdziły go w przekonaniu, że to szkielet nie białego człowieka, lecz Indianina.

Podniecony odkrywaniem kolejnych kości, a w końcu i czaszki, a potem pochłonięty ich oglądaniem, nie poświęcał wilkowi wiele uwagi; właściwie zupełnie przestał się nim zajmować. Wiedział tylko, że wilk siedzi i obserwuje go ustawicznie nie przeszkadzając mu najmniejszym znakiem czy ruchem. Wiedział, że wilk jest zadowolony, uszczęśliwiony, wiedział też, że w dużej mierze wypełnił zadanie, o które chodziło zwierzęciu. Kolejne przesłanie, które napłynęło do niego, czuł to wyraźnie, od milczącego zwierzęcia, wiodło do wyęsknionego finału. Zebrał wszystkie kości w kurtkę i zaniósł je wraz z tomahawkiem do stóp wielkiego świerka, pod którym wilk zatrzymał się po raz pierwszy. Jego noga otarła się o pysk zwierzęcia. Wilk odwrócił łeb w ślad za nim, ale nie poruszył się. Żaden mięsień jego ciała nie drgnął, gdy Hyde przygotowywał stos z gałęzi, na których złożył biedne, sterane kości Indianina, bez wątpienia zabitego znienacka, być może z zasadzki, i którego zwłoki nie doznały ostatniej posługi — nieodzownego plemiennego pogrzebu. Obłożył kości korą; położył tomahawk przy czaszce; podpalił stos ze wszystkich stron i niebieski dym uniósł się w czyste, jasne poranne niebo kanadyjskiej jesieni, po czym rozsunął się między drzewami, wysoko ponad głową.

Tuż przed zapaleniem ognia Hyde obejrzał się, by sprawdzić, co robi jego towarzysz. Wilk siedział pięć jardów z tyłu, wpatrując się w niego z przejęciem, z jedną łapą uniesioną lekko nad ziemią. Nie dawał najmniejszego znaku. Hyde kończył swą pracę i poświęcił się jej tak całkowicie, że poza doглядaniem i pieczołowitym strzeżeniem uroczystego ognia nie zwracał uwagi na nic. Dopiero kiedy stos gałęzi załamał się składając łagodnie swój zwęglony ciężar na pachnącej ziemi między miękkimi leśnymi popiołami, obejrzał się znowu, jakby

chciał pokazać wilkowi, czego dokonał, i być może dostrzec w jego dziwnie wyrazistych ślepiach błysk aprobaty. Ale miejsce, na które spojrzał, było puste. Wilk odszedł.

Nie zobaczył go już więcej; nie znalazł nigdzie śladów jego bytności; nikt go nie obserwował. Hyde znów łowił ryby, potem przeszedł się po lesie otaczającym jego obozowisko, a gdy zapadł zmrok, zasiadł z fajką przy ognisku; wreszcie usnął spokojnie w swoim małym, przytulnym namiocie. Nikt go nie niepokoił. Żadnego wycia głęboko w puszczy, żadnego trzasku pod ukradkowym stąpieniem, żadnych ślepi. Wilk, który zachowywał się jak człowiek, odszedł na zawsze.

Dzień przed wyjazdem Hyde zauważył dym unoszący się po przeciwnej stronie jeziora i popłynął tam, by zamienić parę słów z Indianinem, który najwyraźniej powrócił. Czerwono-skóry zszedł na brzeg, by go powitać, ale wkrótce okazało się, że jego znajomość angielskiego jest nikła. Początkowo wydawał tylko przyjazne pomruki; potem, krok po kroku, stopniowo Hyde uruchamiał jego charakterystyczny słownik. Ostateczny efekt był dość mizerny, chociaż z pewnością znaczący.

— Twój obóz tam? — zapytał Indianin wskazując drugi brzeg.

— Tak.

— Wilk przyjsć?

— Tak.

— Ty widzieć wilk?

— Tak.

Indianin wpił w niego oczy na moment; na miedzianej, pooranej twarzy pojawił się wyraz zdumienia.

— Ty bać się wilk? — zapytał po chwili.

— Nie — odpowiedział Hyde zgodnie z prawdą. Chociaż był żądny wyjaśnień, zrezygnował z zadawania pytań — wiedział, że minęłoby się to z celem. Tamten nic by nie powiedział. I tak szczęśliwie się złożyło, że sam poruszył temat wilka, Hyde więc uznał, że najlepsze, co może zrobić, to udzielać odpowiedzi na pytania samemu ich nie zadając. Nagle Indianin nieomal rozgadał się. W jego gestach i głosie wyczuwało się grozę.

— On nie wilk. On wielki zaklęty wilk. On wilk duch.

Potem wypił herbatę, którą mu Hyde zaparzył, i zamknął usta na dobre, nie powiedział nic więcej. Hyde widział jego sylwetkę na brzegu, surową i nieruchomą, w godzinę później z drugiego, o trzy mile odległego końca jeziora, gdzie dobił swą łodzią i wylądował przy pierwszym progu znajomego strumienia, by załadować bagaże.

Ostatecznie Morton po dłuższym molestowaniu uzupełnił dalszymi szczegółami to, co nazywał legendą. Kilkaset lat temu plemię, które zamieszkiwało tereny wokół jeziora, rozpoczęło swoje doroczne obrzędy magiczne na wielkim, skalistym urwisku na północnym krańcu; ale magia nie działała. Duchy, oznajmił główny czarownik, nie stawiają się. Są obrażone. Zaczęto dochodzić przyczyny. Okazało się, że młody śmiałek zabił wilka, czym naruszył tabu, bo wilk był świętym zwierzęciem plemienia. Sprawa przedstawiała się tym gorzej, że winowajca nosił imię Rączego Wilka. Zbrodnia była niewybaczalna, przestępca został wyklęty i wypędzony przez plemię.

— Odejdź, tułaj się sam wśród lasów, a jeśli cię spotkamy, zabijemy cię. Twoje kości zostaną w puszczy nie pogrzebane i twój duch nie wejdzie do Krainy Szczęśliwych Łowów, dopóki ktoś z obcego plemienia nie odnajdzie ich i nie pogrzebie.

— Co znaczyło — dorzuci! Morton lakonicznie jedyny własny komentarz do tej historii — prawdopodobnie nigdy.

WALTER DE LA MARE

SAMOTNIK

Zastanawiam się, któremu to z mędrców przypisać należy aforyzm: „Na krańcach życia jest to, co w nim najlepsze”. Sformułowanie jest oczywiście zbyt niejasne. Tak wiele zależy od tego, co ma się na myśli mówiąc „najlepsze” i „na krańcach”. Poza tym większość z nas woli być w centrum. Jest ono zbadane, bezpieczne, wiesz, gdzie się znajdujesz, wszystko w nim zostało wielokrotnie, aż w nadmiarze, potwierdzone. Ale czy jest zabawne? No, nie. Ależ naturalnie, jak powiedziałby mój znajomy pan Bloom. On jednakże minął już najdalsze krańce żywota, odszedł z tego świata! Jak sądzę, nie interesują go już „krańce”.

Przypomniało mi go znowu... jak gdyby było to potrzebne... ogłoszenie w „The Times”. Jego „dwór” Montresor wystawiono na licytację. Licytatorzy pisali z entuzjazmem: „Ten czarujący majątek ziemski z rezydencją... w sumie około trzydziestu ośmiu akrów... radujące oczy tereny o niezwykłej piękności...” Nie przeczę. Ale czy było rozsądnie z ich strony przedstawiać tamten dom jako imponujący dwór? Znajdująca się w moim posiadaniu para rannych pantofli każe mi postawić to pytanie. Jak na nie odpowiedzieć? Mogę tylko starać się, żeby moje sprawozdanie było jak najpełniejsze, zwięzłe i wyraziste.

Zdarzyło się to pewnego popołudnia pod koniec maja... we czwartek. Odwiedzałem przyjaciela, który po niebezpiecznej chorobie powracał do zdrowia. Rozmawialiśmy przez chwilę, siedział wsparty na poduszkach, a w jego spojrzeniu skierowanym na zielone gałęzie za oknem malowało się pełne smutku pragnienie, wprost głód — wyraz oczu znany tak dobrze. Jego radość z kwiatów, które mu przyniosłem, była tak wielka i zachłanna, że aż budziła współczucie, choć tylko szeptem mógł mi powiedzieć, jaką mu sprawiłem przyjemność. Rozmawialiśmy o pogodzie, o paru książkach. W rzeczowy sposób przedstawił mi swoje plany.

Kiedy rozmowa się urwała i dyskretnie zajrzała pielęgniarka, poderwałem się z krzesła z nieprzyzwoitą wprost gotowością i uściśnałem na pożegnanie jego zimną kościstą dłoń.

Zawsze odczuwa się ulgę po wyjściu z pokoju chorego, gdy można znowu odetchnąć swobodnie nie zatrutym lekami powietrzem otwartej przestrzeni. Te buteleczki z medykamentami, ta duchota, ten ekliwy optymizm! Okropne wspomnienia. Przyznaję, że pogwizdywałem z cicha wsiadając znowu do mego wygodnego dwuosobowego samochodu. Stał pod gałęziami lipy i przeświecający przez liście blask zachodzącego słońca ślizgał się po jego zakurzonej masce. Zwolniłem hamulec i wóz poderwał się rażno do biegu.

I co się tu dziwić? Za każdym zakrętem tej odludnej wiejskiej drogi pojawić się mogła Flora ze swoimi nimfami. Zapragnąłem przygód. Okazałbym żalosny brak inicjatywy, gdybym wracał do domu tą samą drogą. Poszukam innej.

Wczesny wieczór, podobnie jak wczesny ranek, to najbardziej uwodzicielska pora dnia. A jakże czarujący wydaje się każdy widok na tej ziemi, gdy przelotnym choćby spojrzeniem zbłądziło się w Dolinę Cieni. Lasy i łąki wyglądają wprost niedorzecznie wesoło w nowych zielonych płaszczach i girlandach. Kręte ścieżki, porośnięte kwieciami, pełne jaskrów doliny, zagonki pietruszki, mroczne zagajniki, zakochane ptaki i motyle. Nic pięknego nie może długo trwać. Słodkie, wątle kwiecie głogu o tym świadczyło. Senny, bujny, ciepły wieczór w Anglii.

Sunąc tak w rozleniwieniu, minąłem jakiegoś jeźdźca. O ile wiem, nie miał żadnego wpływu na to, co nastąpiło. Włączyłem go w to opowiadanie, ponieważ sam się w nie włączył, i to w taki dziwny sposób. Na pierwszy rzut oka i z oddalenia wziąłem go za ptaka, za jakieś wielkie, dziwaczne i niezręczne ptaszysko. Sprawilo to tekturowe pudło, które dźwigał. O wiele jaśniejsze niż jego ubranie i jego koń, przytwierdzone było za pomocą sznura ukosem

na plecach jeźdźca. Jadąc klusem podskakiwał on w siodle i pudło również podskakiwało. Machinalnym ruchem, w takt tych podskoków, uderzał po grzbiecie swego konia niewielką gałęzią. Mijając go rzuciłem nań baczne spojrzenie. Miał szarawą, zarośniętą twarz o nieokreślonym wyrazie jak twarz młynarza. Ale żeby wziąć tekturowe pudło za ptaka! Ubawiło mnie to i wybuchnąłem śmiechem, przekonany, że znikł z mych oczu na zawsze.

O kilka mil dalej, kiedy minąłem grupkę chyłących się do upadku chatek z epoki Tudorów, a także staw dla kaczek, ujrzałem Montresor. Wątpię, czy ktokolwiek mający dwoje zdrowych oczu mógłby przejeżdżając tędy nie zwrócić uwagi na tę budowlę. Siedząc w aucie przyglądałem się domostwu przez bramę z kutego żelaza. Wkrótce dobiegł mnie odgłos kopyt konia w pyle drogi. Zanim obejrzałem się przez ramię, wiedziałem już, co zobaczę: mojego jeźdźca. Jechał szosą, ja wybrałem boczną drogę.

Podskakiwał i opadał w siodle, a jego gałąź uderzała konia w takt tych ruchów. Kiedy zrównał się ze mną, obróciłem głowę i zadałem mu głośno pytanie dotyczące domu. Gbur nawet się nie zatrzymał. Zwrócił tylko do mnie swą nieprawdopodobnie zarośniętą twarz i machnął trzymaną w ręku gałęzią. Może ten biedak był niemy. Jego kościsty koń zakaszłał jak gdyby na znak, że się z nim solidaryzuje. Gest nieznanego dawał do zrozumienia jasno, choć z niepotrzebną gwałtownością, że Montresor niewart jest tego, żeby o niego pytać, i że lepiej bym zrobił ruszając dalej w drogę. Naturalnie spotęgowało to jeszcze moje zainteresowanie. Patrzyłem za nim, aż zniknął. Nie wiem doprawdy, dlaczego go wspominam, pewno dlatego, iż przez chwilę był tam, przy tej bramie. Skoro odjechał, obróciłem się ku domowi, by cieszyć się znów jego widokiem, i to przez dłuższą chwilę.

Wszystko wskazywało, że nikt w nim nie mieszka. Ale jeżeli był nie zamieszkały, to chyba od niedawna. Podjazd wymagał pielienia, gdyż zarosła go zieleń. Trawniki jednak były w ostatnim czasie strzyżone. Dom otaczały wysokie drzewa, przeważnie kasztany, których górne gałęzie wznosiły się ponad dach. Powyginane dolne konary zwisały nad ziemią, niemal jej dotykając. Od czubka prawie do korzeni drzewa strojne były w kandelabry kwiecica. Proszę wyobrazić sobie, jak wyglądały w spokojny, ciemny wieczór: w każdym kwiecie jaśniał maleńki fosforyzujący stoczek.

Montresor jednakże, a raczej widoczne dwie trzecie jego fasady, nie był ani szczególnie starym, ani szczególnie pięknym domostwem. Sądząc z wyglądu, musiał być wzniesiony koło 1750 roku i jak wszystkie dzieła tego okresu, od mebli do poezji, odznaczał się charakterystycznymi przyjemnymi proporcjami. Miał specyficzną atmosferę, wyraz pewnej powściągliwości raczej niżli tajemnicy. Zdawał się cofać przed badawczym okiem natręta, zdecydowanie korzystać z osłony, jakiej dostarczały mu szeroko rozpostarte, pokryte kwiecikiem gałęzie. „Mógłbym i chciałbym” — mówił podobnie jak niektóre ludzkie twarze, chociaż bez wątpienia dziwny gest i jeszcze dziwniejszy wygląd jeźdźca z tekturowym pudłem świadczyły o rodzaju wpływu, jaki wywierał.

Błękit nieba pobladał, przesłonięty lekkim obłokiem. Słońce zaszło. Rozproszone światło wisiało jeszcze nad dachem domu, spowijało jego mury. Upiększało go podobnie, jak puder upiększa bladą twarz. Sama Natura zdawała się wybaczać te sztuczne wytwory: nienaturalne trawniki, pachnące miodem azalie, zastygłe w bezruchu kasztany.

Jak absurdalne bywają niekiedy nasze wątpliwości. Przez cały ten czas zastanawiałem się, czy podejść bliżej pieszo, czy też śmiało podjechać wozem. Wybrałem tę drugą ewentualność, zapewne pod wpływem przelotnej myśli, że w razie konieczności auto da mi możliwość szybszej ucieczki. Takie jednakże przecucia są wyraźniejsze, gdy spoglądamy wstecz. Nie ulega wątpliwości, że gdybym podszedł do domu, nie spędziłbym tej nocy z panem Bloomem. Mój wóz jeździ cicho. Włączyłem bieg, spokojnie wśliznąłem się pod rozpostarte gałęzie kasztana przy wejściu i tam się zatrzymałem.

Szeroki, niski ganek, wsparty na czterech smukłych kolumnkach, osłaniał piękne odrzwia. Ich metalowy ornament przedstawiał, podobnie jak w bramie, pelikana karmiącego

swe małe. Z pewnością był to herb pana Blooma. Jednak pomimo swej prostoty różnił się od reszty domu i pewno- został później dobudowany. Echa warkotu motoru ucichły, siedziałem w aucie i leniwie przyglądałem się widokowi przed sobą, niemal nie myśląc o tym, na co patrzyłem. Jaki inny stan umysłu może być bardziej pogodny — lub bardziej aktywny?

Sądziłem że nikt nie zauważył mojego wtargnięcia. Dookoła panowała cisza. Zważywszy obfitość zieleni, słychać było dziwnie mało ptaków, tylko z dala drozd nawoływał cicho: ahój, ahój, ahój! W pobliżu nie krakała nawet wrona. A przecież był to radosny miesiąc maj i wczesna jeszcze pora. Po chwili wyszedłem z wozu i stąpając po kępach mchu i trawy przesunąłem się do końca niskiego tarasu ozdobionego kamiennymi wazami. Za domem znajdowały się tylko gęste zarośla: cis, wiecznie zielony dąbek, ostrokrzew. Prowadziła tu podmokła alejka. Z tej północnej strony okna miały żaluzje i zasłony spleśniałe, ale przyjemne w kolorze.

Jeżeli jakieś żywe stworzenia dostrzegły nieproszonego gościa, to chyba natychmiast się ukryły. Westchnąłem i zawróciłem. Pustka przemawia silniej do serca niż do umysłu. Mój samochód był dziwnie nie na miejscu... i jakby trochę stęskniony za domem... gdy stał przed gankiem posiwiwały od kurzu jak bokobrody mego rzekomego młynarza. Doszedłem do wniosku... absurdalnie błędnego... że dom jest nie zamieszkały, ale niewykluczone, że w każdej chwili zjawić się może właściciel lub stróż.

Miałem już nogę na stopniu samochodu, kiedy — jakby z czyjegoś rozkazu — obróciłem głowę. Ujrzałem, że otwarto drzwi i jakiś człowiek stoi o krok za progiem utkwivszy we mnie spokojny wzrok. Był to pan Bloom. Sprawiał niezatarte wrażenie. Musiał mieć sporo ponad sześć stóp wzrostu i wyraźnie pochylał swą ciężką głowę i ramiona. Był postawny i tęgi, jednak ubranie wisiało na nim, jak gdyby szyte na dawną jego miarę: szeroka i długa czarna marynarka, kamizelka i brązowe sukienne spodnie. Uwagę moją zwróciły jego eleganckie buty: przystrajało je coś, co w moim mniemaniu stanowiło przestarzały ornament: imitacja sznurowadeł. Była to dobrze skrojona para butów od dobrego szewca. Nad pięknym, wyniosłym czołem pana Blooma świeciła łysina, ale po bokach głowy włosy rosły gęsto, a twarz zdobiła krzaczasta broda. Odchylając do tyłu głowę i oparłszy rękę na klamce przyglądał mi się uważnie przez silnie powiększające szkła.

Ten niespodziewany widok po prostu odebrał mi mowę. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie z napięciem, które u niego bardziej było usprawiedliwione niż u mnie. Mierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, próbując odgadnąć, kim jestem. W końcu jego to głos zbudził echo na ganku. Głos, jak można się było domyślić z jego wyglądu, dźwięczny, lecz stłumiony, gdyż broda uniemożliwiała rezonans.

— Widzę, że interesuje pana mój dom — powiedział.

Powitanie było dość grzeczne, ale ton niezwykle obojętny. Wygłosiłem niesłychanie niezręczne przeprosiny dodając kilka banalnych zdań na temat malowniczości widoku i ogólnych „efektów wieczoru”. Ale jednego jestem pewien: nawet w tym wczesnym stadium naszej znajomości nurtowało mnie w głębi duszy pragnienie, żeby nie przedłużyć tej rozmowy. Moje zainteresowanie tym domem zgasło z chwilą pojawienia się jego właściciela. Chciałem się od niego odciąć, odjechać. Czułem, że jest w nim pustka mimo jego myślącego czoła. Podobnie jak ten dom wydał mi się pozbawiony mieszkańców, tak jego właściciel zdawał się pozbawiony żywych zainteresowań. Lecz on wbrew moim chęciom namawiał mnie do dalszego oglądania domu. Zapraszał intruza. Rzuciwszy baczne spojrzenie w prawo i w lewo, wyszedł nawet na ganek i jakimś szczególnym, nie obowiązującym gestem wyciągnął ku mnie swą wypielęgowaną, mięsistą rękę, jak gdyby chciał, żebym poczuł się zupełnie swobodnie. A potem stał i z powagą przyglądał się mojemu autu.

Nie mając innego wyboru cofnąłem się o kilka kroków i przez dłuższą chwilę przyglądałem się frontowi domu, pustym oknom o gzymdach z czerwonej cegły, na wpół widocznym kominom. Dom promieniał pogodną prostotą i dostatkiem. Przypominam też sobie szereg

smutnych, opuszczonych jaskółczych gniazd pod wąskim okapem. Jednak stanie z wyciągniętą szyją było męczące, więc wróciłem na ganek. Pan Bloom nawet nie drgnął przez ten czas. Wyglądał niczym prowincjonalny pomnik zapomnianego wiktoriańskiego arystokraty: miał zestawione ze sobą stopy w eleganckich, wypolerowanych do połysku domowych butach, a prawą rękę na łańcuszku zegarka.

Spoza grubych, zniekształcających szkieł jego niebieskoszare, trochę wypukłe oczy uśmiechały się do mnie. Zapraszał, bym wszedł. Zaproszenie to, choć pozbawione ciepła, było bardziej natarczywe niż same słowa. Podobnie nagli zapewne kuszący zapach przynęty, zanim ukaze się pułapka. W oczach, które poruszyły się niespokojnie, ukrytych za grubymi szklami, malowało się naleganie. Ale dlaczego miałbym mu nie dowierzać? Sądzenie tylko po pozorach byłoby rzeczą okropną. A jednak miałem już wyrzucić z siebie prostą odmowę, kiedy pan Bloom cofnął się i otworzył drzwi. Jedno spojrzenie zmieniło moją decyzję.

Korytarz za otwartymi drzwiami wyglądał szczególnie interesująco. Był niezbyt wysoki, o cudownych proporcjach, wykładany boazerią z jasnego drzewa i miał tu i ówdzie pozłacane rzeźby na pilastrach i gzymsach. Z sufitu zwisały trzy zachwycające kandelabry z zielonkawoszarego szkła, podobnego do wyśmienitych lodów, które kupić można tylko u Waierforda. Wieczorny blask wpadł przez nie osłonięte okna jak gdyby w ciszę snu.

Gdyby ten korytarz był pusty, sam jego widok by urzekał, lecz teraz absurdalnie zastawiono go starymi meblami, które, choć kosztowne i piękne, nagromadzone w nieładzie odarły to miejsce z wszelkiego wdzięku. Między nimi prowadziło tylko bardzo wąskie przejście, tak wąskie, że prawie nie sposób było idąc tędy znajdować się zawsze na podłodze. Przypominało to lokal handlarza antykami, przygotowany na „nocną przeprowadzkę”.

Skusiwszy mnie do wejścia pod swój dach, pan Bloom szedł szybko naprzód przynaglając mnie ruchem ręki, ale nawet nie obejrzał się, czy idę za nim. Poruszał się prędko jak na tak tęgiego człowieka i kiedy dobiegłem do ciemnego zakrętu korytarza, już tam na mnie czekał z ręką na klamce.

— Tu jest moja biblioteka — poinformował mnie tak uprzejmie, jak gdybym był jego bogatym gościem, któremu chce pokazać, co posiada. — Chwileczkę — rzucił spieszenie — zdaje się, że zapomniałem zamknąć drzwi.

Biblioteka niemal zawsze sprawia wrażenie czegoś w rodzaju mauzoleum, ten jednakże pokój w słoneczny poranek wydawać się musiał wesoły jak buduar młodej dziedziczki. Wtedy był wieczór. Na podłodze leżał spłowiały dywan perski i stał duży stół. Olbrzymie fotele obite były czerwoną skórą, na ścianach, wśród półek z książkami, wisiało kilka grafik i mezzotint. Z jednej strony pokoju część książek zdjęto i ułożono pod półkami w niewielkie, nadające się do przeniesienia stosy. Z drugiej strony znajdował się wysoki kominek z rzeźbionych kafli, na których widniał znowu ofiarny pelikan karmiący swoje małe. Wyglądałem przez francuskie okno, kiedy powrócił pan Bloom. Z dyplomatycznym uśmiechem na twarzy poddał mnie ponownym spokojnym oględzinom. W takich momentach najbardziej rzucającym się w oczy szczegółem jego postaci, poza grubymi okularami, była dyndająca na łańcuszku od zegarka stara gwinea. Brązowe spodnie, przyjacielu, myślałem, dlaczego właśnie brązowe? Dlaczego nie nosić spodni pasujących do reszty ubrania?

— Czy pan lubi czytać książki? — mruczał swym apatycznym, zduszonym głosem.

Zaczęliśmy całkiem mile gawędzić o przyjemnościach, jakie daje lektura. Prowadził mnie wytrwale od półki do półki, ale tylko dlatego, żeby podtrzymać rozmowę. Zatrzymywał mnie dla własnych swoich celów i skutecznie udaremniał wszelkie moje próby uwolnienia się od jego towarzystwa. W końcu po prostu wyciągnąłem rękę i pomimo jego protestów, tak usilnych, że aż zaczął się jąkać, wyszedłem z pokoju.

Światło dnia już gasło i w szarym zmierzchu ta masa mebli w korytarzu robiła dziwnie przygnębiające wrażenie. Pan Bloom szedł za mną, wypowiadając jęklwym głosem protesty i żale, że nie mam już dla niego ani chwili czasu. Pokoje na górze... ogród... moja porcelana. —

Mimo to trwałem przy swoim postanowieniu i sam sobie otworzyłem drzwi wyjściowe. Za nimi, w półmroku, wyglądający smutnie niczym cocker-spaniel zmęczony długim wyczekiwaniem na swą panią, stał mój wóz.

Zająłem już w nim miejsce, nie pożegnawszy pana Blooma uściśnieniem dłoni, kiedy zauważyłem, że brakuje kluczyka do stacyjki. Takie niepomyślne wypadki zawsze wyprowadzają z równowagi. Przeszukałem kieszenie, wyskoczyłem z samochodu i znowu wsadziłem ręce do kieszeni, lecz nadaremnie — w dodatku absolutnie nie mogłem sobie przypomnieć, abym wyjmował ten kluczyk. Znalazłem się w śmiesznej, a zarazem trudnej sytuacji. Przypominając sobie każdy swój ruch wbiłem wzrok między zielony trawnik a zwisające nad nim znieruchomiałe gałęzie kasztanów. Po chwili obróciłem się i spojrzałem na pana Blooma.

Trzymając przed sobą opuszczone bezradnie pulchne dłonie i przechyliwszy na bok głowę śledził moje wysiłki z ojcowską niemal troską.

— Gdzieś mi się zapodział kluczyk — krzyknąłem, jak gdyby był głuchy.

— Czy to coś ważnego? Może panu coś przynieść? Wody? Trochę smaru?

To ostatnie słowo wymówił z tak śmieszną intonacją, że straciłem cierpliwość.

— Kluczyk do stacyjki! — rzuciłem ostro. — Auto jest unieruchomione, do niczego niezdatne, dopóki... okropnie żałuję... — zacząłem bez sensu, rozglądając się w rozdrażnieniu po ganku i po trawniku. Pan Bloom obserwował mnie z matczyną wprost uwagą. — Już od godziny powinienem być w domu — stękałem.

— Co za przykrość! O Boże! Jakże mi przykro! Ale i moja pamięć... roztargnienie. Czy pan nie sądzi, panie Dash, że mógł pan przypadkiem włożyć go do kieszeni?

Wlepiłem w niego oczy. Pytanie godne idioty, a jednak miał widocznie dość roztropności, żeby przeczytać moje nazwisko na teczce.

— Gdzie jest najbliższe miasteczko? — niemal wrzasnąłem.

— Najbliższe — powtórzył! — ach najbliższe! Niech pomyślę. Najbliższe miasto... Oczywiście warsztat. Śluszne pytanie. Niech pan wejdzie. Musimy mieć mapę, tak, mapę, nie uważa pan? To najlepszy sposób. Doskonały plan.

Wsunąłem rękę w skórzaną kieszeń samochodu i wyciągnąłem własną mapę. Ale tylko oczy sowy mogłyby dostrzec na niej litery, a jakoś w tym spokojnym zmierzchu nie przyszło mi do głowy, żeby zapalić światła samochodu. Nie było alternatywy. Poszedłem za panem Bloomem do demu, do jego gabinetu. Zapalił parę świec i zasiedliśmy przy stole przyglądając się mapie. Nigdy przedtem ani potem nie byliśmy tak blisko siebie.

Położenie było absurdalne. Montesor znajdował się o dobre cztery mile od najbliższego miasteczka, siedem od najbliższej stacji kolejowej, i to leżącej na jakiejś bocznej linii. A tutaj ten stary człowiek faszerował mnie bezużytecznymi radami i propozycjami pomocy, promieniując jednocześnie radością z powodu mojej sytuacji. W domu nie było nawet służącego, który zaniósłby telegram do miasteczka — jeżeli telegram mógłby choć w najmniejszym stopniu na coś się przydać. Pośpiesznie i zupełnie nie tak, jak należało, złożyłem moją mapę i siedziałem w ponurym zamyśleniu. Pan Bloom oddychał nieco szybciej po tym wysiłku umysłowym.

— Ale dlaczego się niepokoić? — perswadował niemal błagalnym tonem. — Dlaczego? To niepomyślne wydarzenie, ale nic ważnego. Nic ważnego. Spraw mi pan przyjemność, że będę pana gościć dziś w nocy. To tylko przyjemność, zapewniam pana. Proszę nic nie mówić. Nie robi mi pan najmniejszego kłopotu. Ten stary dom... Co za niepomyślne wydarzenie. Powinni robić większe, cięższe kluczyki. To absurd! No ale przecież ja nie jestem mechanikiem.

Pochylał się nade mną, niezgrabny, ciężki, i mówił niemal z lękiem.

— Jeżeli mam być szczery, mój drogi młodzieńcze, nie mogę żałować, iż zdarzył się wypadek, dzięki któremu będę mógł dłużej cieszyć się pana towarzystwem. Widzi pan, my obaj to mole książkowe.

Zaprotestowałem, podniosłem się z krzesła i jeszcze raz zacząłem przetrząsać kieszenie.

Pochylił głowę w swój charakterystyczny sposób.

— A! Rozumiem, o co panu chodzi. Niech się pan tym nie trapi. Tak, tak. Brak zwykłych wygod, przyznaję. Ale moja zacna gospodyni zawsze przygotowuje posiłek wystarczający na dwie osoby. To po prostu jej zwyczaj, panie Dash, prawie tak silny jak u zwierząt. A poza tym... dlaczego by nie? Sam pobuszuję w spiźarni. Posiłek pewnie będzie nie w jednym stylu, ale smaczny. — Rozpromienił się. — A tymczasem dlaczego nie miałby pan rzucić okiem na ogród, zanim się ściemni?

Głos jego brzmiał jeszcze bardziej monotennie, twarz mu zastygła.

Czułem się osaczony. Protest nie zdałby się na nic, a byłby rzeczą niegrzeczną, wprost okrutną. Pan Bloom sam otworzył mi okna. Pieniąc się wewnątrz, ciężkim krokiem udałem się na taras, a on poszedł „buszować”. Widziałem już w wyobraźni grube szkła jego okularów, skierowane na półmiski mięsiwa w wielkiej spiźarni. Ale co w nim jest nie w porządku? Dlaczego jego postać, aż nazbyt masywna, sprawia wrażenie czegoś ulotnego, nierealnego? Co stanowi istotę tego człowieka? Na pewno to coś, ten ktoś wewnątrz niego, nie jego czysta fizyczność.

Kiedy przebywałem w jego towarzystwie, ta fizyczna strona zdawała się zasłaniać jego osobowość, podobnie jak koń na polowaniu zasłania skradającego się za nim myśliwego. A myśliwy w tym wypadku bardzo się starał nie spłoszyć sobie zdobyczy. Te słodkie wabiące tony! Ale czego, doprawdy, czego chciał ode mnie? Kogo wyczekiwał, czając się przy wybranym przez siebie oknie? Dlaczego w tym wielkim domu mieszkał sam? Na te pytania jedynie pan Bloom mógł udzielić odpowiedzi. lecz jakieś dziwne skrupuły dotyczące dobrego zachowania czy też już sam nie wiem co, nie pozwoliły mi go o to zapytać. Co za nonsens!

Znużony tymi dręczącymi rozważaniami, zacząłem dostrzegać to, co miałem przed oczyma. Patrzyłem w kierunku północnym. Na niebie lśnił szklisty blask. Zgasł już spokojny, blade zachód słońca, a wieczorna gwiazda, niczym okruch srebra, płynęła na gołębioszarej welnie obłoczka sunącego z wolna na zachód błękitem horyzontu. Ciemnofioletowy krajobraz wyglądał ponuro, a o sto jardów w tym kierunku pod ciemnym niebem lśniło trupa białą szerokie rozlewisko wody, jezioro. Było to jezioro z dzikim ptactwem, ale nie odzywała się nawet czajka.

Ogród rozciągający się przede mną zamykała ściana gęsto rosnących drzew. Pobliskie cisy świadczyły, że pracowała nad nimi ręka doskonałego ogrodnika. Rok po roku musiał przycinać im gałęzie, tworząc te ptaki, łuki, grzyby, formując z drzew obeliski. Zachwycaly teraz świeżością swej zieleni. Pana Blooma nie mogła opuścić cała jego służba. Ale rzeczywiście teraz nikogo nie było. W mroku nie jaśniało ani jedno światło, nie było widać żadnego ruchu, nie dobiega! mnie żaden głos, jedynie z oddali napływało ciche, senne nawoływanie kozodoja. Jest to ptak leśnej samotności. Wiedziałem jednak, że w nocy wszędzie księżyc, wyczaruje sowy i zapewni mi kołysankę. Skąd więc ten niesmak, ten wewnętrzny niepokój?

Nagle obróciłem się, zdawało mi się bowiem, że słyszę jakieś kroki. Myliłem się jednak — prócz mnie nie było tu nikogo. Pan Bloom musiał wciąż jeszcze buszować w głębi swoich piwnic. Wprost nie do wiary, ale w ostatnim rozpaczliwym odruchu nadziei zacząłem znowu przetrząsać kieszenie szukając kluczyka. Tym razem przerwał mi pan Bloom. Wszedł z wyciągniętymi przed siebie rękami, tak przyjaźnie gościnny, jak członek komitetu kościelnego na zebraniu parafii. Poprowadzi! mnie do stołu tłumacząc szeroko, że od czasu, gdy jest sam, nie używa prawie pokoi na piętrze.

— Prawdę mówiąc, zamierzam opuścić ten dom — informował mnie — jak tylko... nadejdzie odpowiednia chwila. Tymczasem kocuję na parterze. Codzienną rutynę życia, panie Dash, przerywają nieraz zmiany, które rzadko kiedy sprawiają nam radość. To życie jak na pikniku bawiło z początku tego biedaka, mojego sekretarza.

Przystanął na progu pokoju, do którego mnie wprowadzał. Kilka świec płonęło na długim dębowym stole zastawionym do obiadu, poza tym pokój, niewiele mniejszy od biblioteki

i zawierający niemal tyle samo ksiązek, miał zapuszczone grube zasłony i tonął w mroku.

— Muszę wyjaśnić — powiedział, kładąc mi delikatnie na ramieniu cztery palce lewej dłoni — że mój sekretarz opuścił mnie. Opuścił na dobre. Umarł. — Jak gdyby oczekując współczucia, z sową powagą przyglądał się mojej twarzy, na której w tej chwili nie malował się żaden szczególny wyraz. Bez przygotowania nie można nawet udawać współczucia.

Spojrzał przez ramię na korytarz.

— To wielka strata — stwierdził. — Bardzo mi go brak. Nie możemy jednak pozwolić — dodał trochę weselszym tonem — żeby osobiste uczucia zatruiły nam przyjemność tego, co jak się obawiam, jest tylko niezmiernie skromnym posiłkiem.

Znowu pan Bloom dowiódł, jak fałszywa była jego ocena rzeczywistości. W żadnym razie nie był to skromny posiłek. Po zimnym bulionie gospodarz mój podał dwa młode kurczęta, których delikatne mięso polano białym sosem i z wielką elegancją przybrano kawałkami ogórka, rzodkiewki, truflii i innych grzybów. Sałatka ze szparagów była zimna jak lody, obok niej stał półmisek z bezami i galaretką z wina o kolorze bursztynu, suto pokryta kremem. Piliśmy szampana i tylko moja wstrzemięźliwość nie pozwoliła nam opróżnić drugiej butelki.

Czas między jednym a drugim kęsem poświęcał pan Bloom konwersacji o charakterze ogólnym, wypowiadając głównie zdania wykrzyknikowe. Objął nią szeroki zakres swojej biografii. Opowiadał o swoim dzieciństwie w Montresor. Posiadłość ta znajdowała się w rękach jego rodziny przez prawie dwa stulecia. Ostatnie parę lat pan Bloom mieszkał tu ze swą jedyną siostrą.

— Oto ona! — zawołał wskazując jednocześnie widelcem obraz wiszący z prawej strony kominka. Spojrzałem na nią, ale patrzyła w innym kierunku, więc nie doszło do spotkania oczu żywego człowieka z oczami portretu. Wydawało się nieprawdopodobne, aby tych dwoje mogło być kiedyś dziećmi, razem się bawić, chichotać, kłócić i godzić. Nawet gdybym zdołał wyobrazić sobie zmarłą lady z portretu jako małą dziewczynkę, żaden wyskok fantazji nie mógłby zmienić pana Blooma w małego chłopca.

Kiedy już przestałem się nad tym głowić i wraz z moim gospodarzem odstawiłem galaretkę i zabrałem się do camemberta, wypowiedzi pana Blooma na temat jego sekretarza brzmiały niemal żalobnie.

— Był niezastąpioną pomocą w mojej pracy literackiej... samej w sobie bardzo skromnej... nie chcę pana nią nudzić... to tylko boczna ścieżka moich zainteresowań. Niezastąpioną. Różniliśmy się oczywiście w swoich poglądach. Nie ma dwóch ludzi, którzy by patrzyli na tę samą sprawę jednakowo. Krótko mówiąc na okultyzm. On jednakże posiadał niezwykle spryt — pan Bloom położył lewą rękę na stole. — Nie przeczę temu ani przez chwilę. Udało nam się osiągnąć nad wyraz interesujące rezultaty w naszych skromnych eksperymentach. Zdumiałyby pana.

Na próżno starałem się przychylnie przyjąć tę sugestię. Światło świec, choćby ich było nawet cztery, działa trochę otępiająco, jeżeli będąc gościem patrzy się przez nie na gospodarza, a pan Bloom siedział dokładnie naprzeciw mnie po drugiej stronie stołu.

— Moim zdaniem — tłumaczył — jego zły stan zdrowia nie pozostawał w związku z tymi dociekaniem. Doprawdy, nie chciałem, żeby prowadził je na własną rękę. Szczerze mógłbym powiedzieć, że w taką sprawę lepiej angażować rozum, wolę i przezorność dwóch ludzi niż jednego. Doktor Ponsonby... muszę wyjaśnić, że doktor Ponsonby jest moim lekarzem i opiekował się moją siostrą podczas ostatniej jej choroby... doktor Ponsonby mieszka niestety w pewnej od nas odległości, ale nie wahał się poświęcić całego swego wolnego czasu. O ile jednak się orientuję, nie dziwił się zupełnie, że kiedy nadszedł koniec, stało się to nagle. Mojego sekretarza, panie Dash, znaleziono martwego w łóżku... to jest w sypialni. Jeżeli o mnie chodzi, wołałbym — znowu przechylił w tył głowę i znowu jego lekko rozbiegane oczy, niby lśniące agaty, spoglądały na mnie przez srebrną szybę blasku świec — jeżeli o mnie chodzi — z gęstwin jego brody płynęły niemal nieartykułowane pomruki — wołał-

bym odejść z tego świata szybko, jak już będę musiał odejść.

Wyciągnął białą, pulchną dłoń i ponownie napełnił swój kielich szampanem.

— Nie zamierzam przez to sugerować, iż pragnę, żeby to nastąpiło prędko. — A pan — dodał niemal wesoło — który przeżył zaledwie trzecią część moich lat, zapewne jeszcze bardziej nie życzy sobie, by to nastąpiło.

— Ma pan na myśli śmierć, panie Bloom?

Jego broda skryła się znów pod kołnierzykiem.

— Właśnie to. Jednakże dobrze jest pamiętać, że istnieje kilka rodzajów śmierci. Po pierwsze, trzeba wziąć pod uwagę ciało, po drugie to, co pozostaje, chociaż dzisiaj oczywiście... No cóż; może mieć pan własne o tym zdanie.

Pan Bloom był osobliwym rozmówcą, podobnie jak chytry człowiek prowadzący korespondencję, nie zwracał uwagi na nieciekawe lub kłopotliwe pytania, natomiast ze zreżymowaną szympana buszującego wśród rodzimych drzew przeskakiwał z nie odpowiadającego mu tematu na inny, choćby nawet dotychczas nie było o nim wzmianki. Już na początku tego tête-à-tête zbudziło się we mnie podejrzenie, że dlatego tak miło powitał mimowolnego gościa, przybywającego nie wiadomo skąd, że spragniony był rozmowy. Wypadki pokazały, że tylko częściowo miałem rację, ale wtedy stało się już dla mnie jasne, dlaczego brakuje mu towarzysstwa, zwykłego ludzkiego towarzystwa. Odniosłem wrażenie, że znudził się swoim sekretarzem, nim ten został na zawsze odwołany.

— Przyzna pan, mój drogi młodzieńcze, że oglądanie świata oczyma chorego, zwłaszcza przez dłuższy czas, jest bardzo męczące. Choroba rodzi pewne upodobania, czasem nieprzyjemne dla innych. Nie miał szczęśliwej młodości, ciągle analizował sam siebie, należał, jak to się dziś mówi, do introwertyków. Jednak zawsze kierowały nim dobre chęci, ach, i starał się nie załamywać, kiedy... kiedy był w towarzystwie. Moja siostra nigdy go naprawdę nie lubiła. No, ale ona sama była ofiarą konwenansów, które jednak dla pewnych osób stanowią rodzaj tarczy. Dzieliliśmy ze sobą naturalnie wiele zainteresowań, on i ja. Opierała się na nich nasza współpraca; Miał własne poglądy i czasami... — znów napełnił kielich. — O tak, trzymał się ich z wielkim uporem. Posiadał mało siły wewnętrznej. Zaczynał się guzdrać, wahać, powątpiewać, irytować... no i mnie też irytować, oczywiście... właśnie kiedy na przykład dochodziliśmy do interesującego wniosku.

Pan naturalnie zna ogólne postępowanie? — Spojrzał na mnie znad swego talerza, ale bynajmniej nie po to, żeby usłyszeć moją ewentualną odpowiedź. — A więc jest to tak... — Rozpoczął długi i nudny wywód na temat deseczki do pisania dla medium, automatycznych zapisów, stukania w talerzyk, ukrytej tabliczki, ektoplazmy i całej tej reszty, dla mnie niemiłych rzeczy niezbędnych do zorganizowania seansu spirytystycznego. Na jego elokwencję nie miało najmniejszego wpływu nic, co robiłem, nawet jawne ziewanie. Okazało się, że choroba płuc była pierwotną przyczyną ostatecznego odejścia sekretarza. Ale jeżeli ten nieszczęsny młodzieniec noc w noc bywał doświadczany w taki sposób jak ja wtedy, to sama irytacja i nuda mogły go do tego doprowadzić. Jakim cudem, pytałem w myślach sam siebie, mógł tak długo z panem Bloomem wytrzymać.

Przestałem słuchać. Kaskada słów nagle się urwała. Pan Bloom położył ręce po obu stronach talerzyka i w milczeniu obserwował mnie przez swe grube okulary.

— A i panu nie jest zapewne zupełnie obce to moje hobby? — spytał.

Rzeczywiście nie było mi zupełnie obce. Za mego dzieciństwa i wczesnej młodości żyła przyjaciółka rodziny, panna Altogood, druhna mojej matki. W naszym domu istniało niepisane prawo, że należy jej w każdych okolicznościach okazywać jak największe względy i przywiązanie. Biedula — nie powiodło jej się w życiu — wynajmowała umeblowane mieszkanie na najwyższym piętrze w Westbourne Park. Była wysoka, chuda, ciemna i uczuciowa. Interesowały ją ogromnie sprawy tamtego świata. Nawet teraz brzmia mi w uszach jej słowa: „Na tamtym brzegu, mój drogi Karolu”, „Na innej płaszczyźnie, Karolu”, „Kiedy już odejdę”.

Ze względu na tę dawną przyjaźń, myślę, że tylko dlatego, przychodziłem do niej czasem na herbatę. Siedzieliśmy razem, przez okno wpadał żar z zalanej słońcem ulicy, ona zaś przynosiła ten nienawistny mi okrągły wiktoriański stoliczek, szklanek wina oraz alfabet z kartonu i zadawaliśmy pytania komuś niewidzialnemu, nieznanemu, złośliwemu i na w pół obłąkanemu. Panna Altogood drżała z lęku lub dostawała wypieków z podniecenia i triumfu. Uczciwie przyznaję, że choć nigdy rozmyślnie nie manipulowałem tą wstrętną szklanczką wina podczas jej wędrówek po politurze stolika, a panna Altogood nigdy nie przygotowywała odpowiedzi, otrzymywaliśmy je i nieraz stanowiły olśniewającą rewelację.

Te „spirytualistyczne” wypowiedzi padające w ogniu krzyżowych pytań były zarazem niezrozumiale inteligentne i w najwyższym stopniu niemądre i jałowe.

Dla tej też tylko przyczyny jego pierwsza wzmianka na ten temat całkowicie odebrała mi apetyt na zimnego kurczaka, szparagi, galaretkę i szampana. Poza wszystkim innym mur graniczny z „tamtym światem”, z którego, jak mówi poeta, żaden wędrowiec nie wraca, musi być o wiele mil dłuższy niż mur chiński i nie wszystkie jego bramy prowadzą na równiny spokoju czy rajy lub do miejsc choćby tylko znośnych dla człowieka.

Wyłumaczyłem wreszcie memu gospodarzowi, że moje zainteresowanie spirytualizmem jest umiarkowane. Spojrzenie jego wyrazistych niebieskich oczu, słabo oświetlonych skoncentrowanym blaskiem świec, pobudziło mnie do bardziej dobitnej odpowiedzi, niż początkowo zamierzałem. Oświadczyłem mu, że nie znoszę tego tematu.

— Jestem przekonany — zapewniłem go — że jeżeli te przekazy, wyniki, czy jak tam pan to nazwie, nie płyną z naszej podświadomości — a sam ten termin też budzi wątpliwość — to w takim razie są prawdopodobnie dziełem czegoś lub kogoś jeszcze bardziej „pod...” niż ona sama.

Z własnego doświadczenia wiem bardzo mało na ten temat, ale ignorancja, oczywiście, daje siłę. — To, co usłyszałem z tego źródła — oświadczyłem — o przyszłości, jaka nas czeka, kiedy opuścimy nasze ciała, budzi we mnie jedynie żal, że wszystko nie kończy się wraz z tym życiem. Nie twierdzę, że do niczego się nie dochodzi, i nie twierdzę, że pewnego dnia zajdzie się dalej, niż się zamierzało — perorowałem dalej zawadiacko — ale w moim osobistym przekonaniu cały ten proceder, w ten sposób prowadzony, jest niemądrą i niebezpieczną stratą czasu.

Jego oczy nie drgnęły ani też nie pochylił głowy.

— Drogi panie Dash — odparł — zajmuje mnie to, co pan mówi. Nadzwyczajne! Interesujące! Pouczające! O tak, tak. Kapitalne! Mówi pan, że nic pan o tym nie wie. Ach, tak! I że jest to niemądre i niebezpieczne. Ach! Dlaczego by nie? Niebezpieczne! A więc powiem słówko: tutaj, mój drogi panie, jesteśmy w samym gąszczu, w samym tego ognisku. Lecz jednej rzeczy chciałbym uniknąć — cofnął spojrzenie, grube szkła okularów zajaśniały znowu w blasku świec — a mianowicie podejmowania jakichkolwiek kroków dla wprowadzenia pana... w nasze tajemnice. Nie, pozostawię sprawy wyłącznie ich własnemu biegowi.

Mówił spokojnym tonem, wyraz jego twarzy się nie zmienił, tylko grube palce drżały z lekka na obrusie. Ale pobladł z wściekłości, odniosłem nawet wrażenie, że z gniewu włosy po bokach głowy uniosły mu się nieco wraz ze skórą.

— Ignorancja to szczęśliwy stan, panie Dash. W tym stanie żyli nasi pierwsi rodzice, nieprawdaż?

I wtedy jak głupiec dałem się ponieść gniewowi i powiedziałem mu o panie Altogood. Słuchał ze spokojnym uśmiechem.

— Rozumiem, zawodowe medium — oświadczył w końcu ze wzruszeniem ramion. — Jakie to banalne!

Wystąpiłem z gorącą obroną pocziwej, sentymentalnej przyjaciółki naszej rodziny.

— A więc to dawna guwernantka! — Po raz drugi opanowała go wściekłość. — Niech się pan nie obawia, panie Dash, ona nie znajdzie się na liście moich gości. Tu są głębie,

prawdziwe głębie.

To mówiąc wyciągnął rękę i chwycił kość kurczęcia, która od dłuższej już chwili leżała odrzucona na moim talerzu.

— Chodź tutaj! — zawołał. — No, chodź, ty! — Nachylił się, aż jego głowa znikła pod stołem. Żółtawej maści pies, o którego obecności pod krzesłem w kącie pokoju aż do tej chwili nie wiedziałem, łypnął białkami skośnych oczu i chyłkiem pomknął na swą wieczerzę. Przez chwilę ciszę przerywał tylko chrzęst gryzionych kości.

— Ty łakomczuchu! Ty żarłoku! — przemawiał do niego czułym tonem pan Bloom. — Tak, ale gdzie jest Steve? Inteligencja zwierzęcia, panie Dash — usłyszałem jego głos spod stołu — koncentruje się w brzuchu. A jeśli by nawet mogła wznieść się na wyżyny człowieka, to okaże się, że podstawy jego przesądów są takie same.

Przez chwilę nie znajdowałem odpowiedzi na ten dowcip. Skorzystał z tego momentu i uśmiechnął się do mnie.

— No, no — powiedział. — Nie zamierzam się z panem sprzeczać. Bardzo rad jestem z pana towarzystwa. No cóż, nie powinno się wprowadzać nikogo na teren własnych poszukiwań, jeżeli sam nie okaże zainteresowania. Moje własne rzadko spotykają się z uznaniem. Ten pies mógłby wiele opowiedzieć. — Chrząst kości nadal wtórował jego słowom. — Prawda, ty hultaju? Ale gdzie jest Steve? Dosyć, wynoś się! — Chrząst umilkł. Żółtawy pies wycofał się na poprzednie swe miejsce. — A teraz, panie Dash — oświadczył pan Bloom — jeżeli już się pan dostatecznie posilił, zostawmy te resztki. Przez ostatnie parę lat nie chciałem być w domu skrepowany służbą. Obcy element. Zapewniam pana, że w sprawach naprawdę ważnych są dalsi od nas niż ten hultaj tu w kącie, Chunks. Prawda, ty stary diable? — zwrócił się do swego ulubieńca. — A teraz... — sięgnął po stary złoty zegarek. — Dziewiąta godzina. Hm. Właśnie dziewiąta. Długi wieczór przed nami. Proszę mi wierzyć, bardzo jestem panu wdzięczny za towarzystwo, żałuję tylko... No cóż, widzę, że wybaczył pan już staremu jego szorstkość.

Kiedy wypowiadał to ostatnie zdanie, w głosie jego brzmiały tony budzące niemal współczucie. Okazał wyborny apetyt, wypił przynajmniej cztery piąte szampana, ale wstał od stołu straszliwie przygnębiony i szedł szurając butami, jakby postarzał się gwałtownie przez ostatnie dziesięć minut.

Prowadził mnie niosąc w ręku lichtarz, lecz zgasił trzy świece nie chcąc zapewne, by zbyt kapowały. Przez wysokie francuskie okna jego gabinetu świecił przymglony księżyc. Słaby zapach wiosennej ziemi nasycił powietrze, gdyż jedno z okien było otwarte. Widząc to przystanął i rozejrzał się dookoła.

— Jedynym zwierzęciem — mruknął przez ramię w moją stronę — którego nie znoszę, jest kot. Koty mają swoją historię, cofają się w przeszłość, a my spotykamy je w zupełnie innych okolicznościach. Tak, tak.

Mówiąc to zamknął i zarygłował drzwi, zapuścił żaluzje i zasłony.

— A teraz, panie Dash, co z pokojem dla pana? — Stał zwalwszy niemal stopy i patrzył na mnie. — Może pokój mojego sekretarza? Czy będzie odpowiedni? On lubił wygodę. No, ale miewa się upodobania, uprzedzenia. Jak powiedziałem, w pokojach na górze nie ma już mebli, chociaż moglibyśmy przynieść tam łóżko polowe. No i... wodę do łazienki. Ja śpiam tutaj.

Przeszedł przez pokój i rozsunał zasłony wiszące między szafami na książki. Było jednak zbyt ciemno, bym mógł coś zobaczyć.

— Pokój, który proponuję, znajduje się również na tym piętrze, a więc, w razie potrzeby, nie byłibyśmy zbyt daleko. Dobrze? Proszę tędy.

Zamilkł. Wyprowadził mnie znowu na korytarz i zatrzymał się przy trzecich drzwiach na lewo. Stał przed nimi tak długo, że można by przypuścić, że czeka na pozwolenie, by wejść. Wszedłem za nim. Pokój był wysoki, służył jako sypialnia i pokój dzienny. Miał lilio-

we zasłony i obicia mebli. Okno było zamknięte, powietrze duszne, o słodkawym zapachu. Łóżko stało w kącie, na lewo od okna, przez które świecił zamglony księżyc.

Usiadłem i w słabym blasku księżycy i świec patrzyłem na znajdujące się tu przedmioty. Z pewnością, gdyby nie powiedziano mi, że właściciel, a raczej użytkownik tego pokoju, wyruszył stąd w swą ostatnią wędrówkę, nie zauważyłbym nic niezwykłego w tej ciszy, pustce, spokoju. A jednak... No cóż, tego przecież popołudnia odwiedzałem przyjaciela, który jeszcze nie złapał, na dobre oddechu uciekwszy śmierci spod kosa, A te cztery ściany, te barwy, ta biblioteczka, ten stół, to okno — to było ostatnie miejsce na ziemi, które oglądał sekretarz, pana Blooma, nim wyruszył w tę podróż bez powrotu.

Pan Bloom obserwował mnie. Myślę, że gdybym tylko dał mu sposobność, zaciągnąłby zasłony i na te okna.

— Czy sądzi pan, że... nie chciałbym wywierać nacisku, ale to jest naprawdę jedyny pokój, jaki mogę panu zaproponować. — Podziękowałem mu i zapewniłem, że będzie mi tu wygodnie.

— Kapitalnie! — wykrzyknął pan Bloom. — Wspaniale! Obawiam się tylko... wie pan, czasem ludzie bywają bardzo wrażliwi. Znajdźcie mnie pan w gabinecie i zapewniam pana, że pewien drobny temat nie wypłynie już w naszej rozmowie. Może mi brzęczeć w głowie, ale nie będę o tym mówić. Trzecie drzwi na prawo, gdy pójdzie pan w prawo korytarzem. Och, zostawiłbym pana bez światła.

Zapalił świece na toaletce sekretarza i wyszedł.

Przez chwilę stałem wyglądając przez okno. Pan Bloom, rozmyślałem, mimo swej niezwykłej elokwencji jest ogromnie skrytym starcem. Przez cały czas zdawałem sobie sprawę, że nie dla moich pięknych oczu mnie zatrzymywał, i nie tylko dla towarzystwa. Choć jego wygląd zewnętrzny wspaniale to maskował, ten stary człowiek by! już u kresu wytrzymałości nerwowej. Nie mógł znieść swojej samotności, chociaż jeszcze do niedawna osiągnięcie jej stanowiło jedyny cel jego życia. Odniosłem nawet wrażenie, że wcale nie odczuwał braku swego sekretarza. Wprost przeciwnie. Wyrażał się o nim z pogardą. Pamiętał o dwóch rzeczach w jego pojęciu niewybaczalnych: o jakimś ostrym nieporozumieniu między nimi i o tym, że pan Champneys odszedł bez odpowiedniego wypowiedzenia — chyba że można uznać za wypowiedzenie chorobę płuc.

Wziąłem jedną ze świec i spojrzałem na książki. Były to przeważnie powieści i trochę poezji. Stał też tu cały rząd rękopisów o grzbietach ze świńskiej skóry z napisem: „Protokoły”. Podeszedłem do biurka. Niewiele tu rzeczy interesujących: nie nakręcony zegarek, kałamarz z zaschłym atramentem, zmatowiała srebrna czarka i parę książek: „Podróż sentymentalna”, Tomasz à Kempis oprawny w marokinową miękką skórę. Otworzyłem tę książkę i przeczytałem na pierwszej stronie wypisaną pajęcznymi literami dedykację „Najdroższemu Sydneyowi — kochająca mama”. Poczułem się tak, jakby przyłapano mnie na kradzieży. Życie z pewnością nie powinno się tak kończyć — usłyszałem tajemniczy cienki głos płynący z pustki. Zamknąłem książkę.

Szuflada biurka zawierała tylko koperty i papier listowy, ze słowem „Montresor” wypisanym dużymi jasnoniebieskimi literami na tle koloru piaskowca, oraz gruby brulion z napisem: „S.S. Champneys. Dziennik”. Rzuciłem nań okiem, a potem otworzyłem na ostatnim zapisie, sprzed zaledwie sześciu tygodni. Zobaczyłem tylko parę nagryzmołonych słów: „Nie ja, w każdym razie nie ja. A nawet gdybym mógł...” Atrament był rozmazany i odbił się na przeciwległej pustej stronie. Te parę słów, skreślonych kobiecą ręką, nasunęło mi na myśl jakieś zakłęcie. Wydało mi się, że sekretarz pana Blooma wyjawia mi jego tajemnicę. Zamknąłem zeszyt i wyszedłem z pokoju. Kiedy wróciłem do gabinetu, zobaczyłem ze zdziwieniem, że na kominku jasno płoną kłody drzewa, a przed nim stoją, przyciągnięte tu przez pana Blooma, dwa olbrzymie fotele. W jednym z nich rozsiadł się mój gospodarz. Zdjął okulary i zdawał się drzemać, ale na odgłos moich kroków otworzył oczy. Widocznie tylko odpoczy-

wał.

— Mam nadzieję, że znalazł pan wszystko, co trzeba, panie Dash — rzekł na powitanie.
— W tych okolicznościach...

Mówił tak głośno, jakbym znajdował się daleko, ale potem podjął cichszym tonem:

— Jednej rzeczy brakuje: nocnego stroju. Co prawda, w jego komódce ma pan całą wyprawę do wyboru. To fakt, że mój sekretarz był odrobinę próżny. To nic złego, nic złego. Piękne piórka, panie Dash.

Bogu dzięki, nieczęsto bywa się zmuszonym do przyjęcia gościny na cały wieczór u kogoś obcego, komu w dodatku się nie ufa. Rzecz w tym, że nie tylko samo zachowanie pana Blooma zdawało się coś ukrywać, ale i głupota rzucanych przez niego uwag raziła nienaturalnością — nienaturalnością rzadko spotykaną i groźną. Sam zaś dom, Montresor, odznaczał się pogodną prostotą. Promieniał spokojnym czarem osiemnastowiecznej architektury, i to w każdym szczególe, w każdym wykończeniu drzwi, w każdym ornamencie. Zakochać się w nim można było od pierwszego wejrzenia jak w pięknej, szczerzej twarzy. Ale potem... spojrzenie w te oczy! Budziły wątpliwości i odrazę. Czy można takie uczucia uzasadniać konkretnymi dowodami? Są one niedostępne badaniom nawet wszechmocnej Nauki, jak i wiele innych rzeczy, które nie mieszczą się w normach ludzkiego rozumowania.

Obecność pana Blooma na proszonym obiedzie mogłaby okazać się zajmująca i zabawna. Robił, co mógł, aby być interesującym. Czytał wiele i to nawet rzadkich ksiązek, miał bardzo szerokie zainteresowania. Dyskutowaliśmy na temat sztuki i muzyki i aby uzasadnić jakąś swą absurdalną teorię dotyczącą sztuki, przynosił teczkę po teczce rysunków i grafik, aby zaś dowieść słuszności jakiejś swej radykalnej opinii na temat muzyki, zagrał kilka fragmentów Debussy'ego i Ravela. Rozmawialiśmy o przypadku, o marzeniu, o chorobach i dziedziczności, poruszyliśmy problem kobiet i natychmiast przeskoczyliśmy na co innego. Nie chciał mówić o życiu, tym „epizodzie w niesprzyjającym otoczeniu”, wychwalał zaś Fabre'a urwał szybko, żeby zająć się problemem bólu.

— Panie Dash, my za bardzo obawiamy się bólu... a także zadawania bólu. Na samą o tym wzmiankę przeszywa mnie dreszcz. A jakie to niechrześcijańskie!

Rzucił wtedy na mnie spojrzenie, które niezbitnie dowodziło, że celem jego było skuszenie lub zmuszenie mnie do wypowiedzi. Ale ja stałem się już ostrożniejszy i powiedziałem tylko, że stosowanie tego rodzaju filozofii powinno zaczynać się w domu.

— A, rzeczywiście! Dobra odpowiedź! Zapewne z Miłością Bliźniego siedzącą naprzeciw przy kominku, w czepku na głowie i rannych pantoflach. O tak, widzę te drogie istoty, widzę je! Chyba jednak nawet pan zgodzi się tym razem, że rozsądek gubi się nieraz w uczuciach i że czyjaś mózgowica zmienić się może w miseczkę baniek mydlanych. Człowiek uczuciowy, oczywiście, ale choć ślad, soupçon, rozsądku przyda się? Nieprawda?

Chwilę później, wśród dyskusji o postępie ludzkiej myśli, zapytał nagle, czy nie chciałbym zagrać w karty.

— A dlaczego by nie? Albo w warcaby? To zupełnie nie doceniana rozrywka.

Cała ta elokwencja, ten jego dobry nastrój wydawały się czymś sztucznie wypracowanym. Stwarzał te pozory, żeby wprowadzić mnie w dobry nastrój, a może i samego siebie. Był w tym jakiś automatyzm, jakiś trick. Jego umysł działał niczym tybetański młynek do moliditw. Uwagę miał podzieloną. Przynajmniej jedno z pary swych długich, wąskich uszu nastawiał w innym kierunku. Wreszcie niemal bezwiednie zadałem pytanie, które miałem na końcu języka niemal od początku naszej rozmowy, a mianowicie czy oczekuje gościa. W tym momencie zwrócony by! do mnie obleczonymi w czerń i przygarbionymi plecami. Szukał w narożnym bufeciku szklaneczek, które miały towarzyszyć dopiero co wyjętej przez niego karafce z whisky. Z wolna obrócił ku mnie głowę osadzoną na potężnych ramionach.

— Gościa? Zdumiewa mnie pan. Tutaj? Teraz? To wiejskie zacisze, panie Dash, to nie Bloomsbury ani Mayfair. Ubawił mnie pan. Goście! Dzięki Bogu, nie. Niech pan będzie ze

mną szczerzy. Cofnijmy się o parę godzin. Pan tu przyjechał, oglądał dom, ale nie oczekiwał, że go tu mile powitają. Niegodny mieszkaniec Montresor zaskoczył pana. Proszę to przyznać. Tak było. Dlaczego by nie? A jeżeli to pan był tym gościem, którego wyglądałem? No to co? Istnieją przecucia, oczekiwania, obawy, które nadają barwę życiu. O tak, zgadzam się. Czuwałem. Cierpliwie, cierpliwie. We właściwym czasie pana śliczne autko podjechało pod bramę Montresor. Zatrzymał się pan. Powiedziałem sobie: oto jest. Nareszcie towarzystwo, dyskusja, konferencja, a może nawet sprzeczka. Dlaczego by nie? Mieszkamy na tej samej półkuli. Jasne jak słońce. Przewidziałem pana decyzję, tak jak pasterz obserwując czerwony zachód słońca przewidzieć może powódź. Zszedłem na dół i oto jesteśmy.

Moja odpowiedź wypadła trochę ostrzej, niż zamierzałem. Zapewniałem go, że gdybym nie zgubił kluczyka, nie zostałbym tu ani chwili.

— Wolę, by nie oczekiwano mnie w nie znanym mi domu. — Było to nad wyraz grubiańskie.

Chrząknął, wzruszył ramionami. Był ubawiony.

— Ach, ale nie zapominamy chyba, że takie drobne wydarzenia są tylko częścią ogólnego planu? Procesu kształtującego koniec, jak mówi poeta.

— Jakiego ogólnego planu?

— Panie Dash, kiedy pan strzela we mnie takimi pytaniami, niby kulami z lufy rewolweru, nie mogę zebrać myśli, denerwuję się. Proszę, nie odnośmy się jeden do drugiego jak do świadka na sali rozpraw ani też — tu koci uśmiech wypłynął na jego twarz — jak do więźnia na ławie oskarżonych. Może trochę whisky? Odrobinę? Pewno to kaprys, ale dla mnie jedną z irytujących cech mojego biednego sekretarza, pana Champneysa, była jego odraza do alkoholu. Trzysta funtów rocznie, panie Dash. Nie mniej. I wszystko gotowe. Żadnych wydatków, tylko na książki, proszek do zębów, benzynę do motoroweru, który dziś to faktycznie *hors de combat*. I na alkohol proszę bardzo. Co za słowo! Co za potwarz! Ci specjaliści! Woda sodowa czy Apollinaris?

Z czystej rozpaczy wypilem szklaneczkę i wstałem, by odejść. Nic z tego! Rzucając ukradkowe spojrzenia na zegarek, pan Bloom wszelkimi sposobami przetrzymywał mnie w gabinecie, choć już minęła północ. Niepokój, z którym się zdradził już wcześniej wieczorem, stawał się coraz bardziej widoczny, choć on usilnie starał się go ukryć. Nastrój ten sprawił, że mówił coraz więcej i coraz bardziej nieskładnie. Gdyby występował na scenie i grał samego siebie, nie mógłby improwizować bardziej po mistrzowsku. Nawet nie udawał, że słucha moich skąpych wypowiedzi, a kiedy milkł, to tylko dlatego, żeby myśleć o czymś innym, co zaprzętało mu uwagę. Od czasu do czasu, jak gdyby dla podkreślenia tego, o czym mówił, dźwigał swą ciężką postać z głębokiego fotela i udając, że szuka jakiejś książki, szedł ku drzwiom. Zatrzymywał się tam tylko na chwilę i znów rozlegał się jego przytłumiony głos. Raz jednakże stanął przy drzwiach na dłużej, podniósł rękę i otwarcie nasłuchiwał.

— To z pewnością słowik, a może i para — wymamrotał sotto voce — ale niech mi pan powie, panie Dash — zawołał cicho przez pokój — czy tylko mi się zdawało, że słyszę dalekie stukanie? W domu tak dużym jak ten... rzeczy zapewne wartościowe... czytamy nawet o włamaniach. Nigdy nic nie wiadomo.

Spytałem z niezręczną ironią, czy byłoby w tym coś godnego uwagi.

— Czy pańscy przyjaciele nie stukali nigdy z własnej inicjatywy? Myślałem, że przynajmniej tyle mogliby dla pana zrobić.

— Sygnał, parę pukań — powtórzył spokojnie. — Jak to?

— Z drugiego świata.

— Co? — urwał nagle, twarz mu pobladła. Jediną przyczyną tego przerażenia było skrobanie w drzwi, które znaczyło, że jego ulubieńcowi tak uprzykrzyła się samotność w jadalni, że wolałby od niej towarzystwo nawet swego pana. Ale pan Bloom nie otworzył drzwi.

— Wynoś się! — krzyczał. — Idź precz! Na swoją matę! Ten pies, panie Dash, to coś

więcej niż ludzka istota... albo powiedzmy coś mniej.

Słowa były całkiem jowialne, ale mimo gęstej brody widać było, że wargi drżą panu Bloomowi. Miałem już tego dość i tym razem postawiłem na swoim. Odprowadził mnie do drzwi gabinetu, ale nie dalej, i wyciągnął rękę.

— Jeśli wypadkiem — oznajmił cicho, niemal wymruczał — w nocy czegoś by pan potrzebował, to oczywiście wie pan, gdzie mnie szukać. Sypiam tu — wskazał ręką. — Jednak, panie Dash, ja bardzo marnie sypiam — znowu położył mi na ramieniu rękę błagalnym gestem, niemal z nieśmiałym uczuciem. — A czasem krótka, spokojna przechadzka stanowi dobry środek nasenny. Niech pan wtedy idzie za inną, bardzo proszę. Sprawiłoby mi to przyjemność. Ale dzisiejszej nocy nie spodziewam się niczego. — Zamknął znowu drzwi. — Czy pan kiedykolwiek próbował tego właśnie środka przeciw bezsenności? Po prostu świeżego, chłodnego powietrza? Albo twardego herbatnika dla pobudzenia krążenia. Ale młody człowiek... nie! Maszyna względnie nowa. Moja gospodyni wraca o szóstej, śniadanie, mam nadzieję, o wpół do dziewiątej. Szalenie punktualna kobieta. Skarb. Ale służba w ogóle! Nie cierpię całej ich rasy. Dobranoc, dobranoc. I ostrzegam pana: żadnych „Protokołów”.

Ale nawet wtedy nie pozostawił mnie samego. Pośpieszył za mną dysząc i chwycił mnie za rękaw.

— Panie Dash, chciałem zaznaczyć, że nigdy nie kusilem się o nawracanie kogoś. Owoc, pozwolę sobie stwierdzić, bardzo niedojrzały i niezdrowy, gwałtownie gnije. Poza tym mój sekretarz nie miał talentu do porządkowania faktów. Dlatego wspomniałem o „Protokołach”. Być może posiadał wenę pisarską, ale brakło mu metody. To tyle. A teraz, naturalnie, musi pan już iść. Nasz wspólny wieczór się kończy. Jednak kto wie? Naturalnie. To nie ma znaczenia. Co musi przyjść, przyjdzie.

Byłem więc wreszcie wolny, ale już po chwili jego szept gonił mnie po korytarzu.

— Nie musi się pan zachowywać ostrożnie, gdyby mnie pan potrzebował. Nie ma tu dzieci ani chorych. Życzę dobrego snu.

Postawiwszy lichtarz na stole, zamknąwszy drzwi pokoju pana Champneysa i cichutko przekręciwszy klucz w zamku, usiadłem na łóżku, żeby to wszystko przemyśleć. Ale łatwiej chcieć, niż wykonać! Odczuwałem jedynie ulgę, że nareszcie jestem sam, a także, nakręcając zegarek, niezadowolone, że tyle jeszcze godzin dzieli mnie od świtu. Otworzyłem okno i wyjrzałem na dwór. Ganek znajdował się poza zasięgiem mego wzroku. Słowiki pana Blooma (jeżeli nie były tylko wytworem jego wyobraźni) przestały lamentować. Mgła, niby mleczne jezioro, rozciągała się pod drzewami kasztana, bezgłośnie obłapiając ich gałęzie.

Cofnąłem się od okna. Świece kapały w przeciagu. Machinalnie otworzyłem jedną z szuflad w komodzie pana Champneysa. Była zapelniona bielizną. Czy nie miał krewnych? — zastanawiałem się — czy też pan Bloom odziedziczył po nim spuściznę? Te piżamy zadowolilyby nawet arabskiego księcia: z bladoniebieskiego jedwabiu, ozdobione szkarłatnym monogramem „S.S.C.”. Byłem zapewne zbyt wybredny, ale pozostawiłem je w spokoju.

Na półeczce nad kominkiem stało kilka fotografii, jednak fotografie rodziny i przyjaciół nie znanego i nieżyjącego człowieka nie są wesołymi kompanami. Wydawało mi się, że i na nie pada cień śmierci, która zabrała pana Champneysa. Jedna z nich przedstawiała wysokiego, ciemnowłosego młodzieńca w stroju tenisowym. Uśmiechał się. Miał nieco za długi nos i rakietę pod pachą. Na ramce fotografii tkwiły przyklejone skrawki brązowej i żółtej wstążeczki. To drugi Champneys, zapewne brat. Stałem przez chwilę, przyglądając się fotografii, jakbym oczekiwał, że spłynie na mnie natchnienie.

Nigdy niczyja gadanina nie zmęczyła mnie tak bardzo jak elokwencja pana Blooma. Nawet wtedy, gdy pogrążony byłem w zadumie nad tą fotografią, napadło mnie ziewanie tak gwałtowne, że aż przyprawiające o ból. Obróciłem się. W tej chwili pragnąłem jednego: znaleźć się w łazience. Ale pan Bloom nie wskazał mi drogi do niej, a gdybym sam próbował ją odnaleźć, mógłbym się wplątać w dalszą z nim rozmowę. Spotkanie się z kimkolwiek, już

po wymianie pożegnań, jest ambarasujące, ale z nim — za nic! Na wpół rozebrany, po bezskutecznym poszukiwaniu drugiego pudełka zapalek, położyłem się do łóżka i naciągnąłem na siebie liliową kołdrę — ostatecznie sekretarz pana Blooma nie umarł pod nią — i zdmuchnąłem świecę.

Musiałem natychmiast zapaść w sen, głęboki i chyba bez marzeń sennych, ale potem zbudziłem się lekko, od razu, jak na jakiś wewnętrzny sygnał. Noc odchodziła, szarość przedświt wpełzała przez okno, chłodne, wilgotne powietrze wypełniło pokój. Leżałem przez chwilę nieruchomo, przyglądając się bacznie otoczeniu. Uprzytomniłem sobie, gdzie się znajduję, a jednocześnie ogarnęło mnie uczucie, że coś tu jest absolutnie nie w porządku. Ale co?

Trudno to wrażenie przekazać, ale pewne cechy charakterystyczne pokoju, ścian, mebli zdawały się występować bardziej intensywnie. To, co było i w nim groteskowe, stało się jeszcze bardziej groteskowe, a mniej realne. Rzeczy materialne rzadko głoszą swą własną zniszczalność, przypisywaną im przez fizyków. Teraz zaś każdy przedmiot w pobliżu mówił o własnym przemijaniu.

Nagle przeszył mnie zimny dreszcz, jakbym niespodzianie dotknął lodu. Pomyślałem — i myśl ta nie dała się zwalczyć — że takim właśnie musiałby się wydać pokój pana Champneysa człowiekowi czymś przerażonemu. Może to brzmi j niedorzecznie, ale tak było. Ja sam nie bałem się wcale, jak dotychczas nie miałem czego, a jednak wszystko dookoła widziałem przez pryzmat tego stanu świadomości, który choć całkowicie nie uzasadniony, trwał. Gdyby mój umysł, że tak to określe, oparł się na świadectwie zmysłów, stałbym się bezbronny jak ofiara narkotyku lub straszliwej zmory nocnej. Siedziałem, sztywny i zlodowaciały, ze wzrokiem wbitym w drzwi.

I wtedy usłyszałem gwar głosów, chaotyczny, stłumiony oddaleniem. W owej chwili, przynaję, oblał mnie zimny pot. Skradając się jak kot stanąłem na podłodze i włożyłem resztę ubrania, a na wierzch kwiecisty szlafrok, który wisiał na drzwiach. W tym stroju byłem wprawdzie przebrany, ale mogłem działać. Potrzebowałem aż pół minuty, żeby przekręcić klucz w zamku. Ostrożny posuwa się wolno jak żółw.

Drżałem lekko, ale może sprawiało to zimno majowego ranka. Głosy brzmiały teraz wyraźnie. Zdawało, mi się, że jeden z nich należy do pana Blooma. Wszystkie cechowało podobieństwo, i to tak wielkie, iż pomyślałem, że pewno podsłuchuję pana Blooma rozmawiającego z samym sobą. Głosy napływały z górnego piętra, mój korytarz był cichy jak opuszczona scena po zgaszeniu światła.

Nasłuchiwałem, ale nie mogłem odróżnić słów. Rozmowa urwała się nagle. Dał się słyszeć głuchy stuk w drugim końcu domu, a potem, nad moją głową, odgłos, jak gdyby ktoś szedł w tym kierunku ciężkim, niezręcznym, ale szybkim krokiem. Bezczyność denerwuje, a jednak się wahałem lękając się ponownego spotkania z panem Bloomem (zwłaszcza jeśli nie był sam). Musiałem jednak podjąć to niegroźne ryzyko, nie było na to rady. Na palcach przeszedłem korytarz i zajrzałem do jego gabinetu.

Zasłony w przeciwległym końcu pokoju były rozsunięte. Na podłodze leżał gruby turecki dywan; przeszedłem po nim i spojrzałem w głąb. Panowała tu większa ciemność niż w moim pokoju i rzuciwszy pierwszy raz okiem nie dostrzegłem nic osobliwego, tylko sofę w pobliżu, przykrytą do połowy kocem, i stojącą obok znaną mi parę butów. Na pewno te same dziwaczne, wspaniałe buty! Puste, tak jak puste mogą być tylko buty, przycupnęły obok siebie niczym żywe istoty, i to bynajmniej nie pozbawione mowy, chociaż milczące. A na okrągłym stoliku, przyciągniętym do wezglowia sofy, znajdowały się różnorodne przedmioty, wyjęte zapewne z kieszeni pana Blooma: stary złoty zegarek i stara gwinea, portfel, notes, piórniki, przybrudzony odłamek jakiejś rzeźby z kości słoniowej, staroświecka srebrna wykałaczka, parę kopert na depesze, pęk kluczy, stosik monet. Widzę je wyraźnie, ale jeszcze wyraźniej widzę pojedynczy kluczik yale, kumający się ze starą gwineą! Nie wiem, dlaczego pan Bloom opróżnił kieszenie, pewno miał ten zwyczaj od dzieciństwa. Jego czarna bonzur-

ka leżała przewieszona przez krzesło, innych części garderoby nie spostrzegłem. Co prawda i nie szukałem.

Jedynie ważny był kluczyk. Nie istnieją, zdaje się, granice ludzkiej głupoty. Wcale mi nie przyszło na myśl, że to pan Bloom może być sprawcą jego zniknięcia. Przysunąłem się bliżej, by go obejrzeć. Na pierwszy rzut oka kluczyki yale tak są do siebie podobne jak liście na drzewie. Czy to mój kluczyk? Nie byłem pewien. Musiałem zaryzykować. Kroki dudniły teraz głucho po odległej kondygnacji schodów i usłyszałem głos — z pewnością głos pana Blooma — buczący do mnie, ale pozbawiony werwy i wszelkich męskich tonów.

— Tak, tak, już idę — i kroki dudniły dalej.

Cóż, nie miałem ochoty przeszkadzać w żadnym spotkaniu. Dawno już podejrzewałem, że działanie pana Blooma może sprowadzić gości nawet bardziej niepożądanych niżli ja sam. Sądzę, że w każdej sferze podobne przyciąga podobne. Co więcej, ja sam zawiniłem, skoro moje prostackie uprzedzenia nie pozwoliły mi ocenić jego metod badań spirytualistycznych. Wydawał się naciskać bardziej niż większość ludzi. To wszystko: był pionierem.

Zaskoczył mnie widok łóżka pana Blooma. Jestem najzupełniej pewien, że kiedy wszedłem do pokoju, w łóżku nie było nic nienormalnego, tylko nikt w nim nie spał. To prawda, że stało się teraz trochę jaśniej, ale tylko trochę... Nie... przedtem łóżko było puste.

A teraz nie. Dolna jego część pozostawała prawie całkowicie płaska, biały koc naciągnięty był tak równo z jednej i drugiej strony jak nakrycie stołu bilardowego. Ale na poduszce zobaczyłem teraz coś, co wyglądało na głowę i twarz pana Blooma z brodą leżącą na wywiniętym prześcieradle. Jak urzeczony, uważnie przyglądałem się jego twarzy. Było to bezbłędne faksymile, woskowe, nieruchome, ale nie była to prawdziwa twarz, nie była to prawdziwa głowa! To była halucynacja. W jaki sposób wywołana, to już inna sprawa. Najmniejsze tchnienie życia nie poruszyło nigdy tych zastygłych rysów. Była to parodia, pozbawiona całkowicie, celowo lub mimowolnie, najmniejszej iskry humoru. To tylko maska, do złudzenia przypominająca ludzką twarz, tak doskonała, że nie zdołałyby jej dorównać nawet dzieła chińskich artystów. Przerażała mnie w najwyższym stopniu, choć nie wiedziałem dlaczego.

Wypowiedziane przeze mnie krytyczne uwagi o nie ujętych w karby eksperymentach spirytystycznych już wczoraj wieczór nie dorastały do rzeczywistości — dziś nie dorastały groteskowo. Ten dom był nie tylko nawiedzony, on był zatruty. Choć biedny pan Champneys mógł być tylko narzędziem, dopomógł do tego. Poczulem straszliwe zmęczenie, napadły mnie mdłości. Nie spojrzawszy już nawet na łóżko, jak mogłem najszybciej rzuciłem się do drzwi. Wybiegłem.

W błękitnym blasku świtu ujrzałem przed gankiem czekający na mnie mój wierny samochód, okryty kurzem wczorajszej podróży, z odciskami palców na masce, które zresztą dopiero później spostrzegłem. Z zamierającym sercem wsadzałem kluczyk. Dzięki Bogu pasował. Równocześnie z warkotem silnika usłyszałem trzask gwałtownie otwieranego okna nad gankiem. Obróciłem głowę i wśród ostrokrzewów i dębczaków dostrzegłem niewyraźną szarą postać. Był to niski mężczyzna, oddalony o jakieś dwadzieścia czy trzydzieści jardów. Nie patrzył na mnie. On także mógł być czystym złudzeniem, halucynacją. Kiedy spojrzałem ponownie, zniknął. Słońce jeszcze nie wzeszło, drzewa w ogrodzie stały spokojnie jak na sztucznej panoramie, ale hałas na górze domu wciąż wzrastał.

Momentalnie ruszyłem spod ganku i nie bacząc, czy to wypada, czy nie, rwałem na łeb na szyję owalnym podjazdem. Zirytowałem się napotkawszy na jego końcu potężnie zaryglowaną bramę. O mało nie zerwałem hamulców wycofując się w pośpiechu, ale udało mi się wycofać i nawet nie obróciwszy głowy w kierunku domu pędziłem wprost przez trawnik, tak że gałęzie drzew szorowały maskę samochodu. W pięć minut później znajdowałem się już prawie o cztery mile od granic posiadłości pana Blooma.

Szczęśliwie się złożyło, że było jeszcze tak wcześnie, w przeciwnym bowiem razie nawet najbardziej flegmatyczny konstabl mógł nieco podejrzliwie patrzeć na kogoś, kto pro-

wadzi auto ubrany w fioletowy szlafrok i ranne pantofle z czerwonej skórki. Ale ja nie popełniłem żadnego rabunku, bo w zamian za te rzeczy zostawiłem równie cenną kurtkę i parę skórzanych półbutów. Ciekawe, ile za nią dadzą na licytacji? Ciekawe też, czy pan Bloom zaofiarowałby pełne trzysta funtów corocznie, gdybym zgodził się z nim zostać? Myślę, że boleśnie Odczuwał brak towarzystwa. Mniej uprzedzony przybysz mógłby mu okazać wielką pomoc w tych krytycznych okolicznościach. Ale ja uciekłem.

Teraz już za późno, żeby cokolwiek naprawić. Wrócił do domu, jak kiedyś wrócimy my wszyscy, i otrzymał swą zapłatę. Ale co naprawdę mnie dręczy i często napęnia obawą — to myśl o panie Altogood. Była tak prostolinijna i tak niemądra. Nurzała się w tych mrocznych wodach beztrosko i głęboko.

Z lękiem myślę, że po omacku szukając swej drogi na tamtym świecie — której tak naprawdę nie znalazła na tym — mogłaby spotkać pana Blooma. Gdybym tylko mógł, ostrzegłbym ją przed tymi ciemnymi, smutnymi, zgłodniałymi oczyma. A przecież nie jest mi wiadomo, by wyrządził komukolwiek krzywdę.

Przełożyła Aldona Szpakowska

M. R. JAMES

DUCHY W DOMU DLA LALEK

— Zapewne często trafia się panu towar tego rodzaju? — powiedział pan Dillet, wskazując laską przedmiot, który zostanie opisany w swoim czasie; powiedział i splamił swe usta kłamstwem; zdawał sobie z tego sprawę. Pan Chittenden, spec od wyławiania zapomnianych skarbów, operujący na terenie co najmniej połowy hrabstw, może raz na dwadzieścia lat, a może nawet jedyny raz w życiu mógł poszczycić się posiadaniem na składzie podobnego okazu. Uwaga pana Dilleta była kolekcjonerską zagrywką i pan Chittenden tak ją odebrał.

— Towar tego rodzaju, panie Dillet! To jest eksponat godny muzeum, ot co!

— Nie przeczę, zdarzają się muzea gotowe wziąć cokolwiek.

— Widziałem przed laty podobny, jednak nie tak świetny jak ten — powiedział pan Chittenden z zadumą — ale tamten nie jest prawdopodobnie do nabycia; powiadają też, że za oceanem trafiają się niezłe egzemplarze. Ale jest czystą prawdą, panie Dillet, moje oświadczenie, że gdyby pan zlecił mi znalezienie czegoś najlepszego, co można zdobyć — a pan wie, że mam talent do wynajdywania tego typu rzeczy i reputację, o którą muszę dbać — otóż wszystko, co mogę powiedzieć, to że zaprowadziłbym pana do tego właśnie eksponatu ze słowami: Niczego lepszego nie mogę panu ofiarować.

— Dobra, dobra — rzekł pan Dillet podkreślając swe słowa ironicznymi uderzeniami laski o podłogę. — Na ile chce pan oskubać naiwnego amerykańskiego nabywcę, co?

— Oh, nie żądam wygórowanej ceny od amerykańskiego czy jakiegokolwiek innego nabywcy; widzi pan, panie Dillet, rzecz w tym, że gdybym nieco więcej wiedział o pochodzeniu...

— Albo nieco mniej — wpadł mu w słowo pan Dillet.

— Cha, cha! Przedni żart! Ale tak jak wspomniałem, gdybym wiedział trochę więcej, niż wiem, o tym okazie — chociaż dla każdego jest oczywiste, że to autentyk do ostatniego zakamarka; żadnemu z moich ludzi nie wolno było go tknąć, od kiedy pojawił się w sklepie — cena znacznie różniłaby się od tej, której żądam.

— A ile ona wynosi? Dwadzieścia pięć?

— Proszę tę sumę pomnożyć przez trzy i należy do pana. Moja cena jest siedemdziesiąt pięć.

— A moja pięćdziesiąt — powiedział pan Dillet.

Stańto oczywiście na cenie wyśrodkowanej — chyba na sześćdziesięciu gwineach. W każdym razie przedmiot został zapakowany i w niespełna godzinę później pan Dillet przywołał swój samochód, po czym odjechał wraz z nabytkiem. Pan Chittenden z ciekawością w rękę, wśród uśmiechów, odprowadził go do drzwi, a potem, ciągle z uśmiechem na ustach, wrócił do saloniku, gdzie jego małżonka przygotowywała herbatę. Zatrzymał się w drzwiach.

— Pozbyłem się — powiedział.

— Chwała Bogu! — wykrzyknęła pani Chittenden odstawiając imbryk. — Kupił pan Dillet, prawda?

— Tak, właśnie on.

— To dobrze. Wolę, że to trafiło na niego, niż na kogo innego.

— No, nie wiem. Nic facetowi nie można zarzucić, moja droga.

— Być może. Ale moim zdaniem mała nauczka mu się przyda.

— W porządku, to jest twoje zdanie, natomiast moje jest takie, że to musiało paść na niego. Tak czy owak, my pozbyliśmy się tego i winniśmy mu za to wdzięczność.

Po czym pan i pani Chittenden zasiedli do herbaty.

A co z panem Dilletem i z jego nowym nabytkiem? Jaki to był nabytek, mówi tytuł tego opowiadania. Ja postaram się, najlepiej jak umiem, opisać jego wygląd.

Z trudem zmieścił się w samochodzie, tak że pan Dillet musiał zająć miejsce koło kierowcy; należało jechać powoli, bo chociaż pokoje opatulono watą, wstrząsy byłyby niebezpieczne dla ogromnej ilości zapelniających je przedmiotów; dziesięćmiodowa podróż obfitowała w liczne chwile niepokoju mimo podjęcia wszelkich środków ostrożności. Wreszcie dotarli do drzwi frontowych domu pana Dilleta; Collins, lokaj, wyszedł im naprzeciw.

— Tak, Collins, trzeba mi pomóc przy tym, ale z największą ostrożnością, nie można tego przechylać przy wyjmowaniu. Tam jest pełno drobnych przedmiotów, które im mniej są poruszane, tym lepiej. Pomyślmy, gdzie to postawimy. (Po chwili namysłu). Chyba będę musiał umieścić to w swoim pokoju, na początek przynajmniej. Na dużym stole, tak, to dobra myśl.

Nabytek przetransportowano wśród powodzi napomnień do obszernego pokoju pana Dilleta, na pierwszym piętrze, z widokiem na podjazd. Opakowanie zostało zdjęte, frontowa ścianka wyjęta i na następną godzinę czy dwie pan Dillet zatopił się całkowicie w pracy nad usuwaniem waty i ustawianiem według porządku mebelków w pokojach.

Trzeba przyznać, że gdy to satysfakcjonujące zadanie zostało ostatecznie ukończone, trudno byłoby znaleźć doskonalszy i atrakcyjniejszy okaz domu dla lalek utrzymany w stylu gotyckim z okolic Strawberry Hill, od tego, który stał na wielkim stole pana Dilleta oświetlony wieczornym słońcem, które wpadało ukośnie przez trzy wysokie okna z przesuwanymi pionowo skrzydłami.

Dom mierzył całe sześć stóp długości, licząc z kaplicą, która, gdy stało się twarzą do domu, oskrzydlała front z lewej strony, i stajniami z prawej. Główny korpus domu, jak już wspomniałem, był utrzymany w stylu gotyckim, a więc okna były zakończone łukami i zwieńczone tym, co nazywa się ostrołukowatymi gzymsami z czołgankami i kwiatonami, takimi, jakie widuje się na baldachimach grobowców wmurowanych w ściany kościołów. Na narożach wznosiły się nedorzeczne wieżyczki pokryte łukowatymi paneaux. Kaplica miała pinakle i przypory, i dzwon na wieży, i witraże w oknach. Gdy wyjęło się przednią ścianę domu, widać było cztery wielkie pomieszczenia: sypialnię, jadalnię, salon i kuchnię, każde z kompletem stosownych mebli. Stajnia z prawej miała dwie kondygnacje i była wyposażona w komplet koni, pojazdów i stajennych, miała zegar i gotycką kopułę do zegarowego kuranta. Można by oczywiście całe strony zapelnąć opisem wyposażenia rezydencji — ile było rondli,

połączanych krzesel, bielizny stołowej, szkła, jakie znajdowały się tu obrusy, dywany, świeczniki, łoża z baldachimami, porcelana i plater — ale zostawmy to wyobraźni. Ja poprzestałem tylko na informacji, że podstawa, czy też odziom, na którym wznosił się dom (był on zamontowany na pewnej głębokości; która pozwalała na wzniesienie kondygnacji schodów prowadzących do drzwi frontowych i tarasu, częściowo otoczonego balustradą), zawierał płytką szufladę, czy szuflady, gdzie w nienagannym porządku zmagazynowane były komplety haftowanych kotar, odzież na zmianę dla mieszkańców i, krótko mówiąc, całe, niezwykle staranne i zachwycające wyposażenie umożliwiające niezliczone odmiany i renowacje.

— Kwintesencja Horacego Walpole'a, nie ma dwóch zdań. Musiał mieć swój udział w powstawaniu tego — taką refleksję wymruczał do siebie pan Dillet klęcząc w pełnej czci ekstazie przed swą zdobyczą. — Po prostu nadzwyczajne! To był mój wielki dzień, bez wątpienia. Dziś rano zgarnąłem pięćset funtów za tamten gabinet, moim zdaniem nic niewart, a teraz to wpadło mi w ręce za jedną dziesiątą ceny, którą trzeba by zapłacić w mieście. No, no, no! Aż strach, że teraz dla równowagi przyjdzie jakieś niepowodzenie. Ale rzućmy okiem na mieszkańców.

Ustawił ich rzędem przed sobą. Znowu nadarza się okazja, dla wielu bardzo kusząca, by dokonać opisu strojów; jednak ja nie czuję się na sitach.

Był tam więc pan odziany w błękitne atłasy i dama w brokatakach. Było dwoje dzieci — chłopiec i dziewczynka. Był kucharz, niańka, lokaj i służba stajenna, dwóch forysiów, woźnica, dwóch chłopców do czyszczenia koni.

— Jeszcze ktoś? Chyba tak.

W sypialni zasłony łoża z baldachimem były szczelnie zasunięte ze wszystkich czterech stron. Pan Dillet wsunął między nie palec i pomacał po łożku. Cofnął palec pośpiesznie, bo odniósł wrażenie, że coś — nie tyle poruszyło się, co poddało kiedy to nacisnął — w dziwny, żywy, sposób. Rozsunął zasłony, które bezbłędnie chodziły na drążkach, i wyciągnął z łożka siwowłosego dżentelmena w długiej, płóciennej nocnej koszuli i szlafmocy. Teraz był komplet.

Zbliżała się pora kolacji i pan Dillet poświęcił już tylko pięć minut na ulokowanie damy z dziećmi w salonie, dżentelmena w jadalni, służby w kuchni i w stajni, a starego człowieka ponownie w łożku. Wyszedł drugimi drzwiami do swej ubieralni i nie pokazał się aż do jędnastej w nocy.

Sypiał w otoczeniu pereł swojej kolekcji — taką miał fanaberię. W wielkim pokoju, w którym go widzieliśmy, stało jego łożko; wanna, szafy i wszelkie akcesoria garderobiane znajdowały się w obszernym sąsiednim pomieszczeniu, ale jego łoże z baldachimem, które samo w sobie było cennym skarbem, stało w wielkim pokoju, w którym czasem coś pisał i często przesiadywał, a nawet przyjmował gości. Tej nocy wkroczył tutaj w nader miłym nastroju.

W zasięgu słuchu nie było nigdzie bijących zegarów — ani na klatce schodowej, ani w stajni, ani na odległej wieży kościelnej. Jednak nie ulega wątpliwości, iż pan Dillet, ku swemu zaskoczeniu, został wyrwany z rozkosznej drzemki przez dźwięk dzwonu wybijającego pierwszą. Był tak tym wstrząśnięty, że poleżawszy chwilę z zapartym tchem i szeroko otwartymi oczami, usiadł w końcu na łożku.

Nic zadał sobie pytania, aż do godzin porannych, jakim sposobem w pokoju zupełnie nie oświetlonym dom lalek stojący na stole rysował się zupełnie wyraźnie. Bo tak właśnie było. Księżyc niczym okrągły lampion oświetlał fronton wielkiego, białego, kamiennego pałacu — odległość mogła wynosić nawet ćwierć mili, a jednak każdy szczegół rysował się z fotograficzną dokładnością. Widać było także drzewa — drzewa rosnące wokół kaplicy i domu. Czuł niemal zapach zimnej, cichej, wrześniowej nocy. Zdawało mu się, że słyszy przypadkowe stąpnięcia i pobrękiwanie w stajni, jakby poruszały się konie. Poczul się jeszcze bardziej wstrząśnięty, gdy stwierdził, że ponad pałacem widzi nie ścianę swego pokoju zawie-

szoną obrazami, lecz głęboki granat nocnego nieba.

W każdym oknie jarzyło się co najmniej jedno światło i pan Dillet zorientował się, że ma przed sobą nie czteropokojowy dom z wyjmowaną przednią ścianą, lecz prawdziwy pałac z licznymi komnatami i wieloma ciągami schodów, tyle że wyglądał tak, jakby patrzyło się na niego przez niewłaściwy koniec teleskopu.

— Masz zamiar mi coś pokazać — mruknął sam do siebie i bardzo przejęty wlepił wzrok w oświetlone okna. Pomyślał sobie, że w prawdziwym życiu bez wątpienia zasunąłby żaluzje lub zasłony; ale w tym stanie rzeczy nie było przeszkód, by podglądać wypadki rozgrywające się w pokojach.

Były oświetlone dwie komnaty — jedna na parterze na prawo od wejścia, jedna powyżej na lewo — pierwsza była oświetlona jaskrawo, druga raczej słabo. Pokój na parterze pełnił funkcję jadalni, stół był nakryty, ale posiłek już skończono, pozostawiono tylko wino i kieliszki. W komnacie znajdowali się mężczyzna w błękitnych atlasach i kobieta w brokatach: rozmawiali z przejęciem siedząc przy stole blisko siebie z łokciami opartymi o blat; co chwila przerywali rozmowę, jakby nasłuchując. Naraz on podniósł się, podszedł do okna, otworzył je i wysunął przezeń głowę przykładając rękę do ucha. Na kredensie stał smukły srebrny świecznik z zapaloną świecą. Mężczyzna cofnął się od okna i zdaje się opuścił pokój. Pozostała tylko dama, która ujęła świecznik i stała nasłuchując. Z jej twarzy można było wyczytać, że usiłuje opanować strach — i że jej się to udało. Była to twarz odrażająca: szeroka, tłusta i chytra. Wkrótce mężczyzna powrócił, kobieta wzięła od niego jakiś mały przedmiot i pośpiesznie opuściła pokój. On także znikł, ale najwyżej na minutę, dwie. Drzwi frontowe otwarły się powoli i ukazał się w nich on właśnie, stanął u szczytu schodów prowadzących na taras rozglądając się we wszystkie strony. Potem zwrócił się do oświetlonego okna i pogroził pięścią.

Nadszedł czas, by zajrzeć w górne okno. Widać było przez nie łoże z baldachimem; pielęgniarka, czy jakaś inna służąca, siedziała w fotelu i — nie było wątpliwości — spała smacznie; w łożu leżał starzec; nie spał i robił wrażenie zaniepokojonego, bo wiercił się i poruszał palcami, jakby wygrywał na kołdrze melodię. Za łóżkiem otworzyły się drzwi. Na suficie odbił się promień światła i weszła dama; postawiła świecę na stole i obudziła niańkę. Trzymała w ręku staromodną butelkę z winem, już odkorkowaną. Niańka wzięła ją, przelała jej zawartość do małego srebrnego rondelka, dodała nieco przypraw i cukru z cukierniczki na stole i postawiła naczynie na kominku by podgrzać zawartość. W tym czasie stary człowiek skinął słabo na damę, która zbliżyła się do niego z uśmiechem, ujęła za przegub, jakby badała puls, i zagryzła wargi, skonsternowana. Starzec patrzył na nią niespokojnie, potem wskazał na okno i coś powiedział. Kobieta kiwnęła głową i powtórzyła to, co zrobił mężczyzna na dole: otworzyła jedno skrzydło okna i nasłuchiwała — może bardziej ostentacyjnie; potem cofnęła głowę i potrząsnęła nią patrząc na starego człowieka, który chyba westchnął.

Tymczasem z napoju na kominku zaczęła unosić się para; niańka przelała go do małej srebrnej czarinki z dwoma uszkami i podeszła z tym do łoża boleści. Starzec nie miał, zdaje się, ochoty na napój i machał odmownie ręką, ale i dama, i niańka nalegały i wmusiły go w chorego. Musiał ulec, bo uniosły go do siedzącej pozycji i przytknęły mu czarękę do ust. Wypił prawie wszystko kilkoma łykami i wtedy położyły go ponownie. Dama opuszczając pokój życzyła mu z uśmiechem dobrej nocy; zabrała ze sobą czarękę, butelkę i srebrny rondel. Niańka wróciła na swój fotel i nastała chwila zupełnego spokoju.

Nagle starzec poderwał się — chyba coś krzyknął, bo niańka też zerwała się z fotela, ale zrobiła tylko jeden krok w stronę jego łóżka. Przedstawiał on smutny i straszny widok: twarz przekrwiona, prawie czarna, oczy wywrócone białkami, obie ręce kurczowo przyciśnięte do serca, piana na ustach.

Na chwilę niańka opuściła go, pobiegła do drzwi, otworzyła je na oścież i, jak można przypuszczać, krzyczała głośno wzywając pomocy, potem rzuciła się z powrotem w stronę

łóżka i widać było, że usiłuje gorączkowo ratować go, położyć — zrobić cokolwiek. Ale kiedy dama, jej mąż, kilkoro służących z przerażonymi twarzami wpadło do komnaty, chory runął na ręce niańki i leżał na wznak, a jego rysy wykrzywione agonią i wściekłością odprężyły się powoli i okryły spokojem.

Parę chwil potem na lewo od domu ukazały się światła i pojazd z pochodniami zajechał przed frontowe drzwi. Wysiadł z niego zwinnie mężczyzna w czerni i w białej peruce i wbiegł po schodach trzymając w ręku małe skromne pudełko w kształcie kufereka. Powitali go w drzwiach mężczyzna i jego żona: ona kurczowo ścisnęła w rękach chusteczkę, on — z twarzą tragiczną — usiłował zapanować nad sobą. Wprowadzili przybysza do jadalni, gdzie ten ulokowawszy na stole swój kuferek z papierami zwrócił się w ich stronę i słuchał z przerażoną twarzą opowiadania tych dwojga. Bez przerwy kiwał potakująco głową, gestem dłoni i ukłosem odmówił, zdaje się, poczęstunku, noclegu i po paru minutach zszedł ze schodów, wsiadł do powozu i odjechał tą samą drogą, którą przybył. Na tłustą, białą twarz niebiesko ubranego mężczyzny, który obserwował go ze szczytu schodów, wypłynął powoli odrażający uśmiech. Gdy światła powozu oddaliły się, wszystko pogrążyło się w ciemności.

Ale pan Dillet nadal siedział na łóżku: słusznie przewidywał, że nastąpi ciąg dalszy. Niebawem front domu rozbrzmiał znowu. Ale inaczej niż przedtem. Światła płonęły w innych oknach: jedno w szczycie domu, drugie oświetlało rząd kolorowych okien kaplicy. Nie jest zupełnie jasne, jak pan Dillet mógł przez nie widzieć — faktem jest, że widział. Wnętrze było urządzone równie starannie jak reszta rezydencji — z mikroskopijnymi czerwonymi poduszczkami na ławkach, gotyckimi stallami i galerijką od zachodu, i organami zdobnymi w wieżyczki i złote piszczalki. Na środku biało-czarnego chodnika był ustawiony katafalk — cztery wyniosłe świece płonęły w rogach. Na katafalku spoczywała trumna przykryta całunem z czarnego aksamitu. Zauważył, że fałdy całunu poruszyły się. Wyglądało to tak, jakby unosił się z jednego końca. Ześliznął się na dół i opadł odsłaniając czarną trumnę ze srebrnymi uchwytyami i tabliczką z nazwiskiem.

Jeden z wyniosłych świeczników zakołysał się i runął. Nie trzeba było pytać o nic więcej, lecz należało odwrócić się pośpiesznie, co też pan Dillet uczynił. Spojrzał w oświetlone okno w szczycie domu, gdzie w dwóch łóżkach na kółkach leżeli chłopiec i dziewczynka, a obok stało łóżko z baldachimem dla niańki. W tym momencie nie było jej tam, za to byli widoczni ojciec i matka, ubrani teraz w żałobę, chociaż w ich zachowaniu brakowało oznak żalu. Przeciwnie, śmiali się i rozmawiali ze znacznym ożywieniem czasem ze sobą, czasem zwracali się z jakąś uwagą to do jednego, to do drugiego dziecka i znów śmiali się w odpowiedzi. Potem ojciec wyszedł na palcach z pokoju, zabierając ze sobą białą szatę wiszącą na kołku blisko drzwi. Zamknął drzwi za sobą: minutę, może dwie, potem drzwi otworzyły się znowu i wysunęła się przez nie zakutana głowa. Zgięty złowieszczy kształt sunął w kierunku łóżeczek na kółkach i nagle zatrzymał się wyrzucając ramiona i odsłaniając się ze śmiechem.

Oczywiście był to ojciec. Dzieci były śmiertelnie przerażone, chłopiec schował się z głową pod kołdrę, a dziewczynka rzuciła się matce w ramiona. Zaraz zaczęło się uspokajanie — rodzice wzięli dzieci na kolana, głaskali je, podnieśli białą szatę perswadując, że nie kryje ona niczego złego, i temu podobne; w końcu położyli znowu dzieci do łóżeczek i opuścili pokój machając im ręką dla dodania otuchy. Wkrótce po ich wyjściu pojawiła się niańka i światło zgasło. Jednak pan Dillet dalej wpatrywał się w dom nieporuszony.

Inny rodzaj światła — nie świeca ani lampa — blade, szpetne światło zaczęło sączyć się przez szparę tylnych drzwi, które otworzyły się znowu. Obserwator nie ma ochoty rozwodzić się nad tym, co wkroczyło do pokoju; powiedział, że można by to określić jako żabę wielkości człowieka, która miała wokół łba rzadkie, białe włosy. Robiła coś przy łóżeczkach, niezbyt długo. Krzyk — słaby, jakby dochodził z niezmiernej odległości, ale mimo to nieskończenie przerażający — dotarł do jego uszu.

W całym domu pojawiły się oznaki ogromnego zamieszania, światła zapalały się to tu, to tam, otwierano i zatraskiwano drzwi, widać było migające za oknami postacie. Zegar na wieżycze stajni wybił pierwszą i znów zapadła ciemność.

Rozproszyła się jeszcze raz tylko, by ukazać front domu. Wzdłuż schodów w dwóch szeregach stały czarne postacie trzymające w rękach płonące pochodnie. Inne, liczniejsze, czarne postacie zstępowały ze schodów niosąc najpierw jedną, potem drugą małą trumnę. Gdy trumny znalazły się w szpalerze osób trzymających pochodnie, cały orszak ruszył w milczeniu kierując się na lewo.

Mijały nocne godziny — nigdy jeszcze tak wolno dla pana Dilleta. Stopniowo osuwał się w łóżku z pozycji siedzącej do leżącej — ale nie zmrzążył oka; zaraz z rana posłał po lekarza. Ten zaniepokoił się stanem jego nerwów i zalecił morskie powietrze. Pan Dillet podporządkował się temu zaleceniu i udał się swoim samochodem krótkimi etapami do cichej miejscowości na Wschodnim Wybrzeżu.

Jednym z pierwszych ludzi, których spotkał na tymże wybrzeżu, był pan Chittenden, któremu również, jak się okazało, poradzono, by wywiózł gdzieś żonę dla zmiany otoczenia. Pan Chittenden wydawał się nieco speszony spotkaniem — i nie bez powodu.

— Wcale się nie dziwię, że jest pan trochę wytrącony z równowagi, panie Dillet. Co? Tak, oczywiście, chciałem powiedzieć kompletnie wytrącony z równowagi, bez wątpienia, mogę się domyślić po tym, co my sami, ja i moja biedna żona, przeżyliśmy. Ale miałem do wyboru, panie Dillet, jedno z dwojga: mogłem wyrzucić na szmelc wspaniałą rzecz — to pierwsze wyjście, albo powiedzieć klientowi: sprzedaję panu regularny dramat filmowy wzięty z życia rozgrywający się w dawnych czasach, którego prezentacja rozpoczyna się regularnie o pierwszej po północy. Jak by pan sam na to zareagował? A zaraz potem, jak się pan domyśla, miałbym dwóch sędziów pokoju w saloniku na zapleczu sklepu. Po czym pan i pani Chittenden zostaliby odstawieni karetką do okręgowego szpitala wariatów z takimi komentarzami pospółstwa: „No, wiadomo było, że do tego dojdzie, oto do czego prowadzi picie!” — a jak pan wie, jestem niemal zupełnym abstynentem. Tak oto wyglądała moja sytuacja. Co? Mam to zabrać z powrotem do sklepu? Ależ co pan sobie myśli? Nie, powiem panu, co zrobię — zwrócę panu pieniądze odliczywszy dziesięć funtów, które sam zapłaciłem, i niech pan robi z tym, co się panu żywnie podoba.

Nieco później, w czymś, co się brzydtko nazywa palarnią, miała miejsce między tymi dwoma przyciszona rozmowa.

— Co pan naprawdę wie o tym przedmiocie i skąd on pochodzi?

— Mówię uczciwie, panie Dillet, że nic nie wiem o tym domku. Oczywiście został znaleziony w rupieciarni jakiejś wiejskiej rezydencji — to łatwo zgadnąć. Posunę się do stwierdzenia, że znajduje się ona nie dalej niż sto mil stąd. W którym kierunku i jak daleko — nie mam pojęcia. Opieram się tylko na domysłach. Człowiek, od którego to kupiłem, nie jest moim stałym dostawcą i straciłem z nim kontakt. Wydaje mi się, że on pochodził z tej części kraju, i tylko tyle mogę panu powiedzieć. W tym wszystkim jedna rzecz mnie dręczy. Ten stary facet, na pewno pan go zauważył, jak podjeżdżał do drzwi... Jakie pan odniósł wrażenie — że to był lekarz? Moja żona tak uważa, ale ja obstaję, że to prawnik, bo miał przy sobie papiery; ten, który wyjął, był zwinięty.

— Zgadzam się z panem — powiedział pan Dillet — przypuszczam, że musiał to być testament tego starca przygotowany do podpisu.

— Tak właśnie myślałem — powiedział pan Chittenden — i według mnie testament pomijał tych młodych ludzi, prawda? Tak, tak, to będzie nauczka dla mnie, wiem o tym. Nie kupię już nigdy domu dla lalek i nie będę wyrzucał pieniędzy na obrazy — a co do sprawy tego otrutego dziadunia, no nie, o ile znam siebie, to nigdy nie miałem tego typu skłonności. Żyj sam i pozwól żyć innym — to dewiza całego mojego życia i wydaje mi się, że nie najgorsza.

Pan Chittenden wrócił do swego pokoju pełen tego typu podniosłych sentencji. A pan Dillet udał się następnego dnia do tamtejszego archiwum, gdzie spodziewał się znaleźć jakiś klucz do intrygującej go zagadki. Przegląd obszernych kartotek parafialnych zawierających dane dotyczące wyższych sfer w okręgu Canterbury i York doprowadził go do desperacji. Wśród rycin wiszących na klatce schodowej i na korytarzach żadna nie przypominała niczym domu z jego nocnego koszmaru. Niepokieszony, znalazł się w końcu w opuszczonym pokoju, gdzie jego wzrok przyciągnął zakurzony model kościoła w zakurzonej szklanej gablocie: „Model Kościoła św. Stefana. Coxham. Przedłożony przez wielce szanownego J. Merewethera. Ilbridge House. 1877. Dzieło jego przodka Jamesa Merewethera, zm. 1786”. Było coś w tym modelu, co niejasno przypominało mu nocną makabrę. Zauważył mapę ścienną, podszedł do niej i stwierdził, że Ilbridge House znajduje się w okręgu Coxham. Przypadkowo nazwa Coxham była jedną z tych, które zapadły mu w pamięć, kiedy wertował księgę parafialną i natknął się w niej na dokument pogrzebu Rogera Milforda lat 76, który zmarł jedenastego września 1757 roku, oraz Rogera i Elżbiety Merewether, lat dziewięć i siedem pochowanych dwunastego tego samego miesiąca. Warto było skorzystać z tej poszlaki, choć była dość wątpliwa; po południu wyjechał do Coxham. Na wschodnim krańcu północnej części kościoła znajduje się kaplica Milforda, a na jej północnej ścianie tablice upamiętniające te same osoby: Roger starszy, jak się okazuje, odznaczał się wszystkimi przymiotami, które zdobią ojca, sędziego i człowieka. Pomnik był wzniesiony przez jego kochającą córkę Elżbietę: „niedługo przeżyła stratę rodzica, który zawsze czuł troską otaczał ją i jej dwoje ukochanych dzieci”. Było widoczne, że ostatnie zdanie zostało doczepione dużo później do pierwotnego napisu. Nieco dalsza płyta poświęcona była Jamesowi Merewetherowi, mężowi Elżbiety, „którego już w zaraniu jego służby, tak świetnie rozpoczętej, takie ozdabiały cnoty, iż gdyby mu danym było dłużej dzieło swe prowadzić, najznamienitsi sędziowie mianem brytyjskiego Vitriwiusa by go obdarzyli; lecz zdruzgotan przez wizytację, która ukochanego współnika go pozbawiwszy i skandaliczny werdykt ogłosiwszy drogę zaszczytów mu przecięła i na miejsce, acz nie pozbawione wykwintu, lecz odosobnione skazała; jego wdzięczny siostrzeniec i dziedzic tym nazbyt skromnym rejestrem jego przymiotów swemu pobożnemu żalowi wyraz dawa”.

Dzieci były uczzone skromnie. Oboje zmarły w nocy dwunastego września.

Pan Dillet nie miał wątpliwości, że znany mu dramat rozegrał się w Ilbridge House. W starym; szkicowniku, może w jakichś starych rycinach, zdołałby znaleźć potwierdzenie swoich domysłów

Ale dzisiaj Ilbridge House nie jest tym, czego szukał; jest to elżbietański budynek z lat czterdziestych, wzniesiony z czerwonej cegły, z kamiennymi narożnikami i tynkami. Čwierć mili od niego w niższej części parku, za prastarymi obrosłymi bluszczem drzewami i gęstym poszyciem, znajdują się ślady tarasu zarośnięte zmierzwioną trawą. Kilka kamiennych słupków z balustrady leży w różnych miejscach, jakieś sterty misternie obrobionych kamieni ze źle wyrzeźbionymi czołgankami zarosły pokrzywami i bluszczem. Poinformowano pana Dilleta, że tu mieścił się stary budynek.

Kiedy opuszczał miasteczko, zegar na rynku wybił czwartą, a pan Dillet drgnął i podniósł ręce do uszu. Nie po raz pierwszy słyszał ten dźwięk.

Oczekując kupca zza Atlantyku domek dla lalek ciągle spoczywa, starannie przykryty, na stryszku nad stajnią pana Dilleta, gdzie Collin przeniósł go tego samego dnia, kiedy pan Dillet wyruszył nad morze.

Przełożyła Monika Dutkowska

SAKI

LAURA

— Ale tak naprawdę, to nie umierasz? — spytała Amanda.

— Lekarze pozwalają mi żyć do wtorku — odparła Laura.

— Ależ dziś już sobota, to sprawa poważna! — zachnęła się Amanda.

— Nie wiem, poważna czy niepoważna, ale z pewnością dziś jest sobota — stwierdziła Laura.

— Śmierć jest zawsze sprawą poważną — wykrztusiła Amanda.

— Nigdy nie mówiłam, że umrę. Przypuszczam, że przestanę istnieć jako Laura, ale nadal czymś będę. Myślę, że jakimś zwierzęciem. Widzisz, jeżeli ktoś nie był bardzo dobry w życiu, które właśnie przeżył, w drodze reinkarnacji przemienia się w jakiś niższy organizm. A kiedy się nad tym zastanowić, to ja nie byłam zbyt dobra. Byłam małostkowa, skąpa, mściwa i tak dalej, i tak dalej, kiedy tylko okoliczności zdawały się to usprawiedliwiać.

— Okoliczności nigdy nie usprawiedliwiają takich rzeczy — wtrąciła śpiesznie Amanda.

— Pozwól sobie powiedzieć, że Egbert jest taką okolicznością, która usprawiedliwia podobne zachowanie, i to nawet wielokrotne. Z tobą to co innego: poślubiłaś go, ślubowałaś mu miłość, szacunek i wierność, ale ja nie — zauważyła Laura.

— Nie rozumiem, co złego widzisz w Egbercie — protestowała Amanda.

— Och, zapewne zło było po mojej stronie — przyznała obojętnie Laura. — On był tylko okolicznością łagodzącą. Któregoś dnia na przykład straszliwie zrzędził i niepotrzebnie się awanturował, kiedy zabrałam jego szkockie owczarki, żeby sobie pobiegały.

— Te szczeniaki goniły stadka młodych perlicząt i wysiadujące kury, a poza tym biegały po rabatkach. Wiesz, jak przywiązany jest do swego drobiu i ogrodu.

— W każdym razie nie musiał rozprawiać o tym przez cały wieczór, a potem powiada: „Nie mówmy już o tym” właśnie w chwili, kiedy ta dyskusja zaczynała mnie bawić. Wtedy dokonałam jednego z moich drobnych aktów zemsty — dodała Laura chichocząc bez cienia skruchy. — Nazajutrz po tym psim epizodzie wprowadziłam całą rodzinę perliczek do jego szopy z sadzonkami.

— Jak mogłaś! — oburzyła się Amanda.

— Przyszło mi to całkiem łatwo — wyjaśniła Laura. — Dwie perliczki udawały, że się niosą, ale ja byłam nieugięta.

— A myśmy myśleli, że to przypadek!

— Więc widzisz — podjęła znów Laura — ja naprawdę mam pewne powody, żeby przypuszczać, że w następnym wcieleniu będę jakimś niższym organizmem, jakimś zwierzęciem. Z drugiej jednak strony na swój sposób nie byłam taka zła, więc chyba mogę liczyć na to, że wcielę się w jakieś ładne zwierzę, eleganckie i pełne życia, lubiące psoty! Na przykład w wydrę.

— Nie mogę wyobrazić sobie ciebie w postaci wydry — stwierdziła Amanda.

— No, ale nie przypuszczam, żebyś mogła wyobrazić sobie mnie jako anioła, skoro już o tym mowa.

Amanda zamilkła. Rzeczywiście, nie mogła sobie tego wyobrazić.

— Ja osobiście uważam, że życie wydry byłoby raczej przyjemne — mówiła dalej Laura. — Je się łososia przez cały okrągły rok, a co to za satysfakcja łapać pstrągi w ich własnym domu i nie musieć czekać godzinami, aż zechcą podpłynąć do przynęty, którą się przed nimi dynda. A ta zgrabna smukła figura...

— Pomyśl o nagonce na wydry — przerwała jej Amanda. — Jakie to dla nich okropne, gdy się na nie poluje i goni, i w końcu zamęcza na śmierć!

— To pewno zabawne, gdy połowa sąsiedztwa się przygląda, a w każdym razie nie jest to gorsze niż takie umieranie od soboty do wtorku. A potem stałabym się czymś innym. Myślę, że gdybym była względnie dobrą wydrą, przybrałabym ludzką postać, zapewne jednak prymitywną, na przykład mogłabym żyć jako mały, brązowy, nagi chłopak z Nubii.

— Wolałabym, żebyś zachowywała się poważnie. Naprawdę powinnaś zachowywać się poważnie, jeżeli masz żyć tylko do wtorku — upomniała ją Amanda.

W istocie Laura umarła w poniedziałek.

— Jakież to przykre — żaliła się Amanda wujowi swojego męża, sir Lulworthowi Quayne. — Zaprosiłam mnóstwo ludzi z miasta na golfa i łowienie ryb, a i rododendrony teraz właśnie wyglądają najpiękniej.

— Laura nigdy nie miała względów dla innych — odpowiedział sir Lulworth Quayne. — Urodziła się w tym tygodniu, gdy odbywają się polowania, a w domu akurat gościł ambasador, który nie cierpiał niemowląt.

— Miewała szaleńcze pomysły — stwierdziła Amanda. — Nie orientujesz się, wuju, czy w jej rodzinie nie było choroby umysłowej?

— Choroby umysłowej? Nigdy o tym nie słyszałem. Jej ojciec mieszkał wprawdzie w West Kensington, ale sądzę, że pod wszystkimi innymi względami był zdrow na umyśle.

— Ona przypuszczała, że odrodzi się jako wydra — zwierzyła się Amanda.

— Wyznawców idei reinkarnacji spotyka się tak często, nawet na Zachodzie — rzekł sir Lulworth — że nie można uważać tego za wariactwo. Laura była w tym życiu tak nieobliczalna, że nie chciałbym wysuwać żadnych konkretnych przypuszczeń na temat tego, co mogłaby robić w następnym.

— Myślisz, wuju, że naprawdę mogłaby się wcielić w postać zwierzęcą? — spytała Amanda. Należała ona do osób, których opinie kształtują się dość szybko pod wpływem otoczenia.

W tej chwili właśnie wszedł do pokoju Egbert, na którego twarzy malował się tak głęboki smutek, że nie sposób było przypisać tego wyłącznie śmierci Laury.

— Zabito cztery z moich perliczek! — zawołał. — Właśnie te cztery, które miałem w piątek zabrać na wystawę. Jedna z nich została zaciągnięta na sam środek rabaty z goździkami, które kosztowały mnie tyle trudów i pieniędzy, i tam zjedzona. Na zagładę zostały wybrane najlepsze okazy mojego drobiu i klomb najpiękniejszych kwiatów, zupełnie tak, jakby bestia, która je zniszczyła, orientowała się doskonale, jak w najkrótszym czasie dokonać największych spustoszeń.

— Czy to był lis, jak myślisz? — spytała Amanda.

— Sądzę raczej, że to tchórz — powiedział sir Lulworth.

— Nie. Wszędzie widać było ślady płetwowatych nóg, które zaprowadziły nas do strumienia w dole ogrodu. To chyba wydra.

Amanda rzuciła szybkie, ukradkowe spojrzenie na sir Lulwortha. Egbert nie jadł śniadania, był na to zbyt podniecony, i wyszedł dopilnować umacniania zagrody dla drobiu.

— Myślę, że mogła przynajmniej poczekać, aż odbędzie się pogrzeb — powiedziała Amanda zgorzonym tonem.

— Wiesz przecież, że to jej własny pogrzeb — wyjaśnił sir Lulworth — a delikatnym punktem etykiety jest zagadnienie, jak dalece okazywać należy lekceważenie własnym śmiertelnym szczątkom.

Następnego dnia zdarzyło się coś, co stanowiło jeszcze większe zlekceważenie uroczystości pogrzebowych. W czasie, gdy się one odbywały, a więc pod nieobecność rodziny, zginęła reszta perliczek. Rabuś wycofywał się w taki sposób, jakby chciał zniszczyć możliwie najwięcej klombów. Ucierpiały również grządki truskawek w dolnym ogrodzie.

— Idę po psy gończe i sprowadzę je jak najszybciej — wściekał się Egbert.

— W żadnym razie! Niech ci się nawet nie śni nic podobnego! — zawołała Amanda. — To nie wypada, tak zaraz po pogrzebie!

— To konieczność — tłumaczył Egbert — bo kiedy raz wydra zacznie robić szkody, nie będzie temu końca.

— Ale może wyniesie się gdzieś indziej, skoro już nic z drobiu nie pozostało — argumentowała Amanda.

— Można by pomyśleć, że bronisz tej bestii — zganiał ją Egbert.

— Teraz jest bardzo mało wody w rzeczulce — sprzeciwiła się Amanda — i chyba to nie po sportowemu polować na zwierzę, które prawie nie ma szansy ucieczki.

— Wielki Boże! — zagrzmał Egbert. — Nie myślę o sporcie. Chcę jak najszybciej zabić tego szkodnika.

Sprzeciw Amandy osłabł jednak, kiedy następnej niedzieli w czasie nabożeństwa wydra dostała się do domu, porwała pół łososia ze spiżarni, pozostawiając na perskim dywanie w gabinecie Egberta nie dojedzone resztki.

— Pewnie niedługo będzie się ukrywać pod naszymi łózkami i obgryzać nam pięty — przewidywał Egbert, Amanda zaś sądząc po tym, co wiedziała o tej właśnie wydrze, czuła, że ta ewentualność nie musi dotyczyć dalekiej przyszłości.

Wieczorem w dniu poprzedzającym polowanie na wydrę, Amanda spędziła całą godzinę na samotnej przechadzce nad brzegiem rzeczki, wydając pokrzykiwania, które w jej mniemaniu przypominały odgłosy nagonki. Ci, którzy ją słyszeli, miłosiernie uznali, że wprawia się w naśladowaniu odgłosów zwierząt, bo zbliża się wiejska zabawa.

O wydarzeniach następnego dnia opowiedziała jej sąsiadka i przyjaciółka, Aurora Burret.

— Szkoda, że nie wychodziłaś, był to wspaniały dzień. Znaleźliśmy wydrę od razu, w stawie tuż przy waszym ogrodzie.

— Czy... zabiliście ją? — spytała Amanda.

— Tak. To była ładna samiczka. Twój mąż tropiąc ją po prostu wpadł w zacierzwienie. Biedne zwierzę, trochę mi jej żal. Kiedy ją zabito, oczy jej miały niemal ludzki wyraz. Powiesz, że jestem niemądra, ale wiesz, kogo przypominało mi jej spojrzenie? Moja kochana; co się z tobą dzieje?

Kiedy Amanda wróciła trochę do siebie po załamaniu nerwowym, Egbert zabrał ją nad Nil do całkowitego wyleczenia. Zmiana krajobrazu szybko spowodowała pożądaną zmianę w jej zdrowiu i psychice. Wyprawy awanturniczej wydry w poszukiwaniu urozmaiconej diety widziała teraz we właściwym świetle. Wróciło jej normalne pogodne usposobienie. Nawet napływający pewnego wieczoru z pokoju jej męża huragan klątw, wykrzykiwanych jego głosem, lecz w niezwykłych dla niego słowach, nie zakłócił spokoju, z jakim dokonywała toalety w hotelu w Kairze.

— O co chodzi? Co się stało? — spytała rozbawiona i zaciekawiona.

— Ta bestia wrzuciła wszystkie moje czyste koszule do wanny! Zobaczysz, jak cię złapię, ty mały...

— Co za bestia? — dopytywała się dalej, tłumiąc śmiech. Słowa Egberta wydawały się tak niewspółmierne z jego wściekłością.

— Ta bestia, ten nagi brązowy chłopiec z Nubii — bełkotał w podnieceniu Egbert.

Wtedy Amanda rozchorowała się na serio.

Przełożyła Aldona Szpakowska

SPIS TREŚCI

Algernon Blackwood — Rączy Wilk (<i>Running Wolf</i>)	02
Walter De la Mare — Samotnik (<i>A Recluse</i>)	12
M. R. James — Duchy w domu dla lalek (<i>The Haunted Doll House</i>)	28
Saki — Laura (<i>Laura</i>)	35